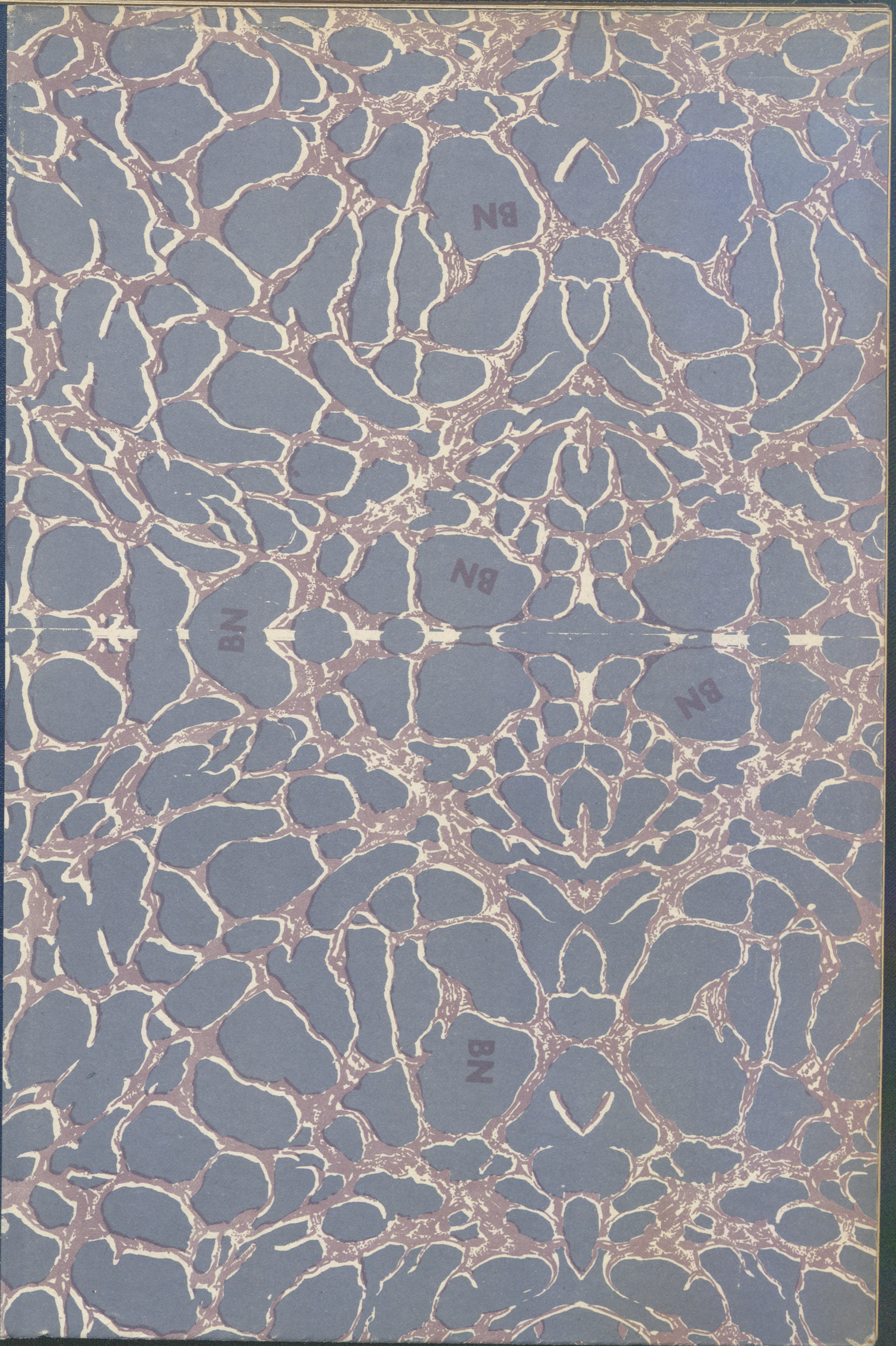


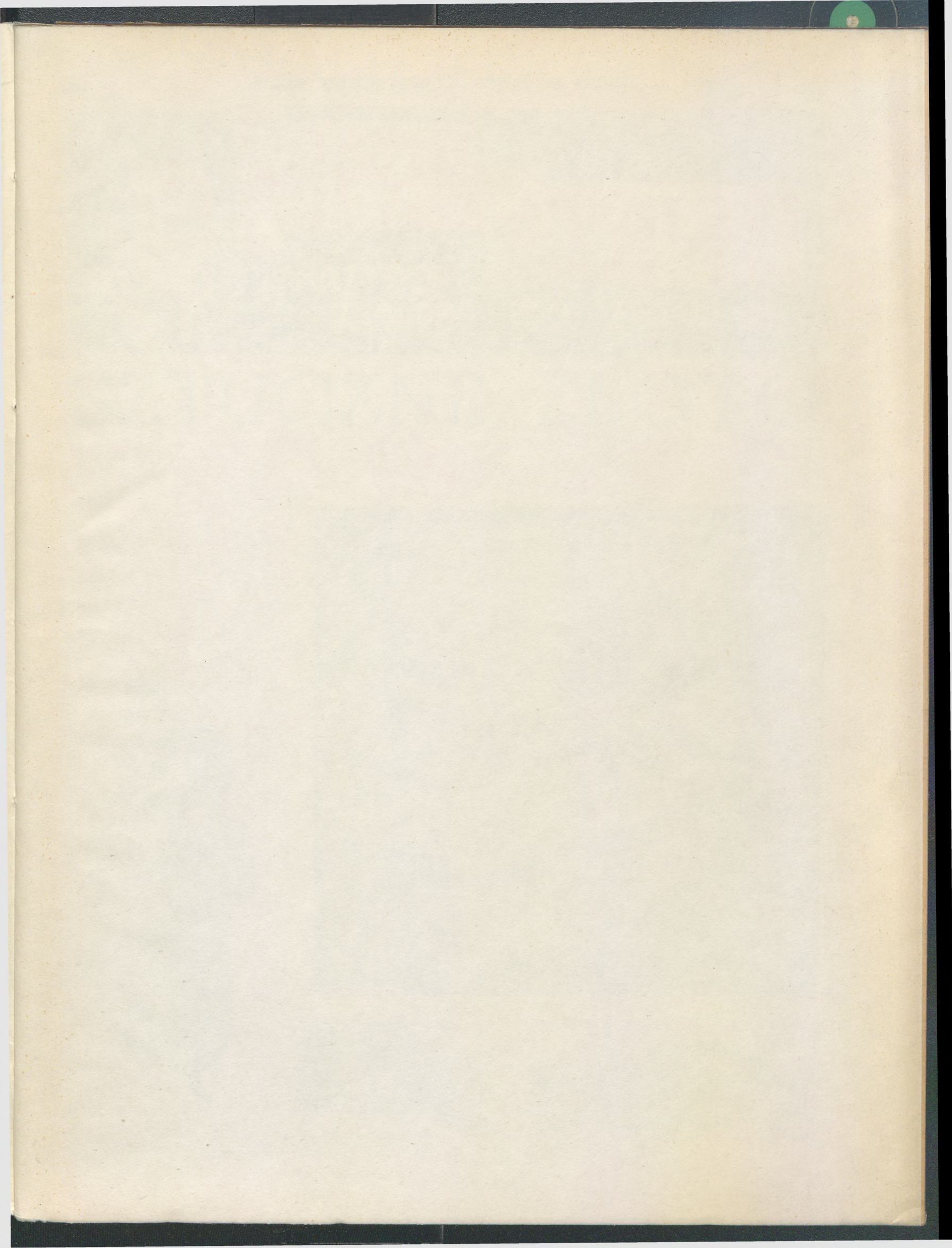
29

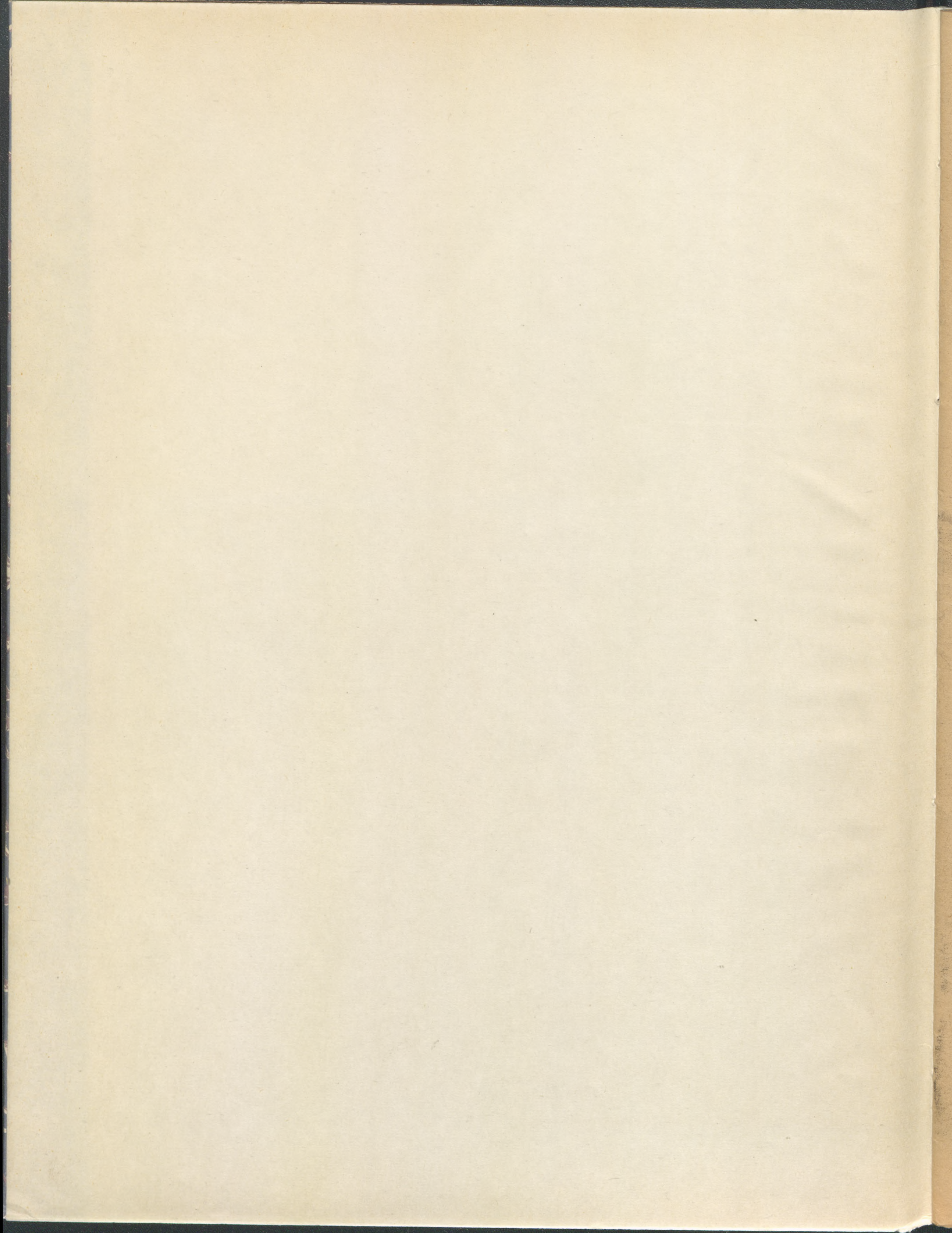
623405





BN





III 623.405/29

Nr. 29.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

SZTUCZNE ZŁOTO





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

SZTUCZNE ZŁOTO

Kłopoty pana Tymoteusza Hulla

— Pozwoli pani szklaneczkę francuskiego wina, Mrs. Crown?

— Wprawdzie to nie jest w moim zwyczaju, Mr. Hull, ale nie mogę odmówić, gdy mnie pan tak grzecznie prosi.

Pan Tymoteusz Hull był właścicielem sklepu korzennego w wąskiej uliczce Barlowstreet. Był to gentleman starej daty, uprzejmy i uczciwy wobec klienteli. Będąc bezdzietnym wdowcem już od wielu lat, nie wstąpił jednak powtórnie w związku małżeński, choć był dobrze sytuowany materialnie i mieszkał samotnie w ładnym, trochę staroświeckim domku.

Mrs. Crown, gospodyni sławnego detektywa Harry Dicksona, bardzo lubiła kupować u niego, gdyż po pierwsze, nie liczył zbyt drogo, a po drugie traktował ją z wyjątkowym szacunkiem, prawdopodobnie z powodu pana, u którego była zatrudniona.

Tego dnia przyjęła szklanke wina, które popijała w miłym pokoiku za sklepem, gdzie śpiewały kanarki i kwitły czerwone geranie w dzbankach. Gdy spostrzegła, że szklanka jest pusta i gdy zamierzała pożegnać się, Mr. Hull zmusił ją niemił, aby usiadła i nalał jej drugą szklanke. Mrs. Crown zaprotestowała: odstąpiła od swoich zwyczajów i wypila jedną, ale dwie... nie, Mr. Hull, nigdy!

Kupiec pokręcił głową, zawstydzony:

— Widzi pani, Mrs. Crown, — rzeki, chrząkając, — chciałbym, jak to się mówi, o coś panią zapytać, a właściwie... chciałbym prosić panią o przysługę, o wielką przysługę!

Mrs. Crown skinęła głową.

— Pracuje pani u największego detektywa na świecie, — podjął Mr. Hull, i odrobina jego sławy spłynęła na panią. Żyjąc u jego boku napewno nauczyła się pani lepiej osądzać ludzi i sprawy, myśle więc, że mogę przedstawić pani pewne zagadnienie.

— Zagadnienie? — zawołała Mrs. Crown. — Ależ proszę, zresztą Mr. Dickson nieraz pytał mnie o moje zdanie!

— Tak właśnie myślałem! — rzeki kupiec z radością, — opowiem więc pani co mnie gębi już od tygodnia. Przez trzy następujące po sobie noce ktoś rysował kredą linie na moich drzwiach. Były

to za każdym razem linie równoległe i faliste, i wyglądały tak:

Mr. Hull wziął ołówek i narysował linie na odwrotnej stronie rachunku.

Mrs. Crown przyjrzała im się uważnie z krytyczną miną i oddała kupcowi, mówiąc:

— To są zabawy uliczników i to nie oznacza nic wielkiego.

Mr. Hull był jednak zamyślony:

— Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego, Czwartego dnia na tym samym miejscu znalazłem nowy znak, był to rodzaj raka, niezdarne narysowanego. Wytarłem kredę i wróciłem do sklepu. Jednak gdy znów wyszedłem na ulicę, ze zdumieniem spostrzegłem nowy rysunek, który, tym razem, przypominał kształtem wagę.

— Głupstwa — rzekła Mrs. Crown.

— Chciałbym w to wierzyć, ale mam inne powody niepokoju. Tegoż dnia, gdy zajęty byłem w sklepie ważeniem mąki i cukru, usłyszałem nagie jakieś stuknięcie i ujrzałam wąski nóż, utkwiony w kontuarze. Cudem chyba nie trafił on we mnie. Pobiegnęłam do drzwi, ale ulica była pusta.

Gdy wieczorem wychodziłem z domu, zdawało mi się, że jacyś obcy ludzie obserwują mnie, ale pomyślałem, że może jestem przewrażliwiony. Szedłem przez Paradisestreet, było już prawie ciemno, a ta ulica nie należy do najlepiej oświetlonych w Londynie. Wtem jakiś człowiek, przybyły nie wiadomo skąd, szybko podszedł do mnie i powiedział kilka słów w obcym języku, których naturalnie nie rozumiałem. Po tym odszedł i zniknął za rogiem ulicy. Powtarzam pani, Mrs. Crown, nie rozumiałem co do mnie mówił, ale wyczułem w jego głosie groźby. W tej chwili ulicą przechodził policjant i miałem ochotę zwrócić się do niego, ale obawiałem się, że to wyda mu się śmieszne. Wszedłem więc do piwiarni „Pod Dobrą Gwiazdą“, gdzie pozostałem do północy. Powróciłem spokojnie na Barlowstreet. Jestem zazwyczaj bardzo przeczorny, pani chyba nie będzie śmiała się z tego, Mrs. Crown, gdyż pani wie dobrze ilu złych ludzi jest na świecie. Co wieczór więc przeglądam cały dom od piwnic do strychu. Potem sprawdzam okiennice i drzwi. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy znalazłem utkwiony we drzwiach mojej sypialni ten mały metalowy przedmiot.

Pokazał maleńką strzałkę z blachy. Mrs. Crown obejrzała ją i rzekła:

— Ta rzecz sama przez się nic nie oznacza, ale wskazuje, że ktoś wszedł tutaj podczas pana nieobecności. To jest ważne.

— To prawda, — rzekł Mr. Hull, — ktoś wszedł tutaj, lecz w jakim celu?

Pocziwa gospodyni wzruszyła ramionami.

— Mój mistrz, Mr. Harry Dickson nie odgadłby więcej w pierwszej chwili. Rozmyśla on, a potem dopiero wyciąga wnioski. Niech pan więc da mi ten kawałek żelaza, ja pomyślę i może również coś zrozumiem.

Mrs. Crown wstała, gdyż zbliżała się godzina kolacji na Bakerstreet. Była już na progu, gdy odwróciła się jeszcze:

— Mr. Hull, czy ma pan rewolwer?

— Tak, Mrs. Crown, ale przeraża mnie myśl, że musiałbym się nim posłużyć.

— Niech pan nie będzie dziecinny, — odparła gospodyni, — jeżeli ktokolwiek wkradnie się do pana w nocy, czy to wyważywszy drzwi, czy to wspinając się po murze podwórza, niech pan strzela do niego bez wahania!

Kupiec niepewnym głosem podziękował jej za radę i zamknął za nią drzwi od ulicy, poczem zasunął rygle.

Gdy Mrs. Crown powróciła na Bakerstreet zastała swego pana na rozmowie z młodą damą w pod różnym płaszczu.

— Czekalem na panią z niecierpliwością, Mrs. Crown, — rzekł Harry Dickson, — trzeba dodać jedno nakrycie, gdyż mademoiselle będzie jadła wraz z nami.

Gospodyni spojrzała na gościa.

Ujrzała poważną twarz, jasne, uczciwe oczy i energicznie zaciśnięte usta; nie dostrzegła śladu pudru ani różu.

Egzamin ten wypadł widocznie pomyślnie, gdyż obiad okazał się wyjątkowo smaczny, co wywołało liczne zachwyty ze strony nie tylko mistrza i jego ucznia Toma Willsa, lecz także ze strony obcej damy.

— Umie pani dobrze obchodzić się z piecem, — rzekła ta ostatnia z uśmiechem.

— Ale jest on tak gorący, że można spalić się na popiół! — odparła gospodyni.

Mówiąc to, wyjęła chusteczkę, aby otrzeć czoło i w tej samej chwili mały metalowy przedmiot wysunął się z kieszeni i upadł z brzękiem na podłogę.

Z niezwykłą uprzejmością nieznaną damą schyliła się, podniosła przedmiot i właśnie miała zamierzać zwrócić go właścicielce, gdy nagle twarz jej zastygła.

— Cóż to jest? — zapytała ostrym głosem.

— To strzałka, — odparła Mrs. Crown sucho, gdyż ton pytania nie podobał jej się, — proszę mi ją oddać.

Zamiast usłuchać, nieznaną wyciągnęła dłoń do Harry Dicksona. Ku niezmiernemu zdumieniu Mrs. Crown detektyw drgnął, zmarszczył brwi i uderzył pięścią w stół:

— Skąd pani to ma, Mrs. Crown? — głos jego brzmiał równie ostro, jak głos jego pięknego gościa.

Gospodyni pojęła w końcu, że to było poważne i, przypomniawszy sobie obawy Mr. Hulla, opowiedziała szybko, co się zdarzyło.

Zdumienie jej spotęgowało się, gdy ujrzała, że mistrz i jego towarzyszka wstają i biorą palta i kapelusze.

— Tomie — rozkazał Harry Dickson, — idźmy natychmiast do Hulla na Barlowstreet, zatelefonuj do Scotland - Yardu i powiedz, aby intendent przyjechał tam do nas wraz z oddziałem policjantów.

— Mam nadzieję, że Mr. Hull nie jest w niebezpieczeństwie! — zawołała Mrs. Crown.

Ale ani detektyw, ani młoda kobieta nie słuchali jej, śpiesznie zbiegali po schodach i kierowali się w stronę Barlowstreet.

— Mr. Wills! — jęknęła gospodyni, — czy to naprawdę takie ważne?

Zazwyczaj młodzieniec przyjaźnie rozmawiał z nią, lecz tym razem poprzestał na kilku słowach, rzuconych w słuchawkę telefoniczną:

— Straszna historia... nic nie wiem narazie!

Tymczasem Harry Dickson i jego towarzyszka przybyli do Barlowstreet. Deszcz padał, było prawie zupełnie ciemno. Dom Tymoteusza Hulla tonął w ciemnościach, ani jedno okno nie było oświetlone.

Harry Dickson pociągnął za rączkę i zabrzmiał donośny dźwięk dzwonka. Nikt jednak nie otworzył i żaden szelest nie odzywał się w domu.

— Mam wrażenie, że on śpi, — mruknęła kobieta, — niech pan raz jeszcze zadzwoni, Mr. Dickson!

Znowu zadzwieczał dzwonek, lecz i tym razem bez rezultatu.

W tym momencie rozległ się daleki turkot, zbliżający się z ogromną szybkością: nadjeżdżały samochody policyjne Yardu. Pierwszy wyskoczył Goodfield. Harry Dickson szepnął mu parę słów do ucha.

— Wiec już, — mruknął intendent, — szkoda, że nie wiedzieliśmy wcześniej! Trzeba zawiadomić lorda Dambridge.

— Zawołaj swoich ludzi, Goodfield, — rozkazał Dickson, — niech wyważą te drzwi!

Rozkaz został wykonany natychmiast. Drzwi ustąpiły.

— Pilnujcie tu na ulicy, — rzekł detektyw policjantom, — aby nikt nie zbliżył się do tego domu.

Poszukał pociemku wyłącznik i zapalił światło.

— Nic tu niema, — rzekł Goodfield, rozejrzawszy się po pokoju sklepowym, i pchnął drzwi do dalszej części mieszkania.

Promień światła ze sklepu padł prosto na twarz Tymoteusza Hulla, siedzącego bez ruchu na fotelu, w swoim niebieskim fartuchu.

— Mr. Hull! — zawołał Goodfield.

— To zbędne, Goodfield, — rzekł Harry Dickson ponuro, — on już ciebie nie słyszy... i nie słyszy już nikogo!

Twarz Hulla była spokojna, blada i dopiero po chwili dostrzeżono straszną ranę podciętego gardła.

— Cóż, — rzekła chłodno młoda dama, towarzysząca Dicksonowi, — po znaku Strzelca nie można już oczekiwać nic innego!

Goodfield spojrzał na detektywa pytająco.

— Słusznie, powinienem przedstawić was sobie, — rzekł Dickson, — Goodfield intendent Scotland Yardu, jeden z naszych najznakomitszych oficerów policji, Mademoiselle Gilberte Lusseau z Paryża.

Goodfield skłonił się. b'ysk podziwu pojawił się w jego oczach:

— Gilberte Lusseau? Postrach szpiegów? Mój Boże, marzyłem o tym, aby być pani kiedyś przedstawionym!

Panna Lusseau skinęła lekko głową i zwróciła się do Harry Dicksona.

— Dlaczego zamordowano tego nieszczęsnego kupca? Czy wy, panowie z policji, wiecie o nim cokolwiek?

— Był to bardzo dzielny człowiek, — rzekł Goodfield.

— Obejrzymy całe mieszkanie, — zaproponował detektyw.

Ale wszystko tutaj było w porządku, wszystko świadczyło o pedanterii zmarłego i o jego zamiowaniu do ładu. Nawet w pokoju, gdzie popełniono zbrodnię żaden przedmiot nie był przesunięty na inne miejsce.

— Żadnego śladu walki, — mruknął Harry Dickson, — a jednak człowiek ten został zaatakowany twarzą w twarz! Dopiero niedawno znalazłem się wobec takiego faktu. Zmarły musiał więc być zamordowany przez kogoś, kogo się nie obawiał!

Goodfield zauważył dwie szklanki z resztkami czerwonego płynu.

— Szklanki wina, o których mówiła nam Mrs. Crown, — rzekł Harry Dickson, — zbrodnia musiała być popełniona w chwili po jej odejściu, gdyż Mr. Hull, człowiek pedantyczny nie umył jeszcze szklanek.

Usłyszeli warkot motocykla i po chwili jeden z policjantów stanął przed swym szefem:

— Lord Dambridge jest w Yardzie, — rzekł — i prosi, aby Mr. Dickson przyszedł tam po ukończeniu pierwszego śledztwa tutaj. Prosi również damę, która mu towarzyszy, aby przysia z nim razem.

Nocna narada

Lord Dambridge, premier ministrów wielkimi krokami przemierzał swoje biuro, gdy oznajmiono mu przybycie Harry Dicksona, Goodfielda i ich towarzyszeki.

Jego szare oczy zabłyśły ciekawością na widok Gilberty Lusseau.

— Sądziłem, że pani jest starsza, Mademoiselle Lusseau, — rzekł swoim stanowczym głosem, który jego podwładni znali tak dobrze. — Dopiero wczoraj w nocy rząd francuski zawiadomił mnie, że pan przybędzie, a już dziś widzę, że rozpoczęła pani działania!

Wskazał na Harry Dicksona, który trzymał się na uboczu:

— Będzie pan pracować z panem Dicksonem, — rzekł, — nasz wielki detektyw przyrzekł mi swoją pomoc w tej sprawie.

— Nie byłam tego pewna, — odparła młoda kobieta, — i dlatego zwróciłam się do niego po przyjeździe do Londynu. Przypadek dokonał reszty.

— Przypadek? — wtracił detektyw. — Być może, narazie muszę to przyznać. Opowiem panu całą sprawę, Ekscelencjo, pewne rzeczy zapewne opowiedział panu już mój uczeń, Tom Willis, telefonicznie.

Powtórzył całą historię Mrs. Crown. Gdy skończył, M-lle Lusseau zabrała głos:

— Oto jeszcze jedna sprawa tajemniczej bandy Zodiaku, — rzekła, — opowiem panom o tej organizacji, najbardziej dziwacznej, o jakiej słyszałam, choć nie sądzę, aby to wniosło coś nowego do sprawy.

Wiemy, że istnieje międzynarodowa banda „Dzielnych Synów Zodiaku“. Czego chce ona? Kto

do niej należy? Nie wiemy o tym nic. Wiemy tylko jedno: rozporządza olbrzymim majątkiem. W tym wypadku to tajne stowarzyszenie staje się już groźne. Dotychczas zadawało się jedynie dawaniem znaków, nielicznych zresztą, swojej prawdziwej potęgi: W najbardziej strzeżonych biurach na Quasi des Orfèvres zostawiano znaki, zawsze zapożyczane z kostelacji Zodiaku.

Z początku przypuszczaliśmy, że każdy znak oznacza jednego człowieka, jednego wysłannika tej ciemnej potęgi. Później jednak przekonaliśmy się, że każdy znak był przeznaczony dla jednego departamentu. Znak Wagi naprzykład znajdowaliśmy zawsze w biurach policyjnych lub w Wydziale Sprawiedliwości; faliste linie Wodnika — w Departamencie Marynarki, znak Strzelca w Departamencie Wojny.

Nieznani wrogowie chcieli nam prawdopodobnie dać do zrozumienia, że nie ma dla nich drzwi zamkniętych. Ażeby nas przekonać o swym bogactwie pozostawili kiedyś w Ministerstwie Finansów duży stos sztab złota: było to warte majątek. Wniosek: nie potrzebują oni pieniędzy.

— W jaki sposób wpadliście na to, że zaczęli oni grasować w Anglii? — zapytał lord Dambridge.

— W Ministerstwie Marynarki przechowuje się w specjalnej szafie akta, dotyczące różnych państw. Wczoraj rano została stamtąd wyjęta flaga Anglii i przybito ją do ściany. Była podpisana wszystkimi dwunastoma znakami Zodiaku.

— I oto zaczęli w Anglii swoje działania od zamordowania nieszczęśliwego kupca! — rzekł Goodfield.

Lord Dambridge zwrócił się do Harry Dicksona, który dotychczas zachowywał milczenie.

— Czy ma pan jakąś myśl, Mr. Dickson? — zapytał.

Detektyw wolno potrząsnął głową:

— Jest to tajemnicza i przerażająca siła, — rzekł — ale.. nie rozporządza jeszcze wszystkimi środkami.

— Co pana naprowadza na tę myśl, Mr. Dickson? — spytała Gilberta.

— Zamordowanie Tymoteusza Hulla!

— Ale dlaczego? — gorączkowała się dama.

— Gdy musieli jeszcze otrzymać coś od Hulla, albo..

Umilkł nagle i przywołał gestem Goodfielda.

— Czy kupiec z Barlowstreet nie miał nigdy lokatora? — spytał.

Goodfield rozłożył ręce.

— Proszę zatelefonować do odpowiedniego urzędu i dowiedzieć się, Mr. Goodfield, — rzekł lord Dambridge.

Po kilku chwilach otrzymano odpowiedź.

— Kilka miesięcy temu mieszkał u niego pewien starzec nazwiskiem Gusher, lecz Hull wyrzucił go, gdyż ten nie płacił mu komornego.

— Gusher! — szepnął Harry Dickson i na czole jego ukazały się zmarszczki. — To nazwisko nie jest mi obce! Jest to w rzeczywistości Francuz, który miał w ojczyźnie jakiś zatarg z policją w swoim czasie, przez jakieś skomplikowane sprawy pieniężne. Prawda, jego nazwiska nie zapomnia się tak łatwo: nazywa się Soleil, co po francusku znaczy „słońce“. Pracował on nad jakimiś naukowymi odkryciami, i czytałem nawet kiedyś bardzo dziwny artykuł w gazecie, przez niego podpisany.

Lord Dambridge znał Dicksona. W zbytek wielu okolicznościach znajdowali się już i pracowali ra-

zem, ażeby lord miał nie dostrzec dziwnego błysku w oczach detektywa.

— Mr. Dickson, nie mówi pan nam wszystkiego! — zawołał.

Harry Dickson nie odparł tego zarzutu. Siedział przy biurku, oparłszy podbródek na dłoniach. Widać było, że myśli intensywnie.

— Chciałbym bardzo odnaleźć tego Soleila, — rzekł, — Soleil, słońce... Proszę mi wybaczyć gre słów, Eksceleńco, ale tak, jak ta planeta jest ośrodkiem naszego wszechświata, tak człowiek o nazwisku Soleil mógłby być ośrodkiem pewnego ograniczonego świata przestępczego. Myśle teraz o dziwacznej nazwie tajemniczej bandy „Dzielnych Synów Zodiaku“ i proszę zwrócić uwagę, że definicja nazwy „Zodiak“ jest bardzo charakterystyczna: strefa idealnie okrągła, składająca się z dwunastu głównych konstelacji, które odbywają w ciągu roku drogę dookoła słońca...

— Słońce... Soleil... Czy rozumiecie teraz, że to nazwisko uderzyło mnie odrazu?

— Tak, — przyznał lord Dambridge, — to bardzo pomysłowe, ale nie zapominajmy, że najgroźniejsi przestępcy zazwyczaj okazują dzieciinną wprost skłonność do pewnego romantyzmu.

— Mademoiselle Lusseau, — rzekł detektyw, — sądzi, że każdy z członków bandy ma przydzielony specjalny departament. Narazie nie podzielam jej zdania. Raczej wierzę, że ma to związek z czasem. Pierwszy znak, jaki ujrzał Mr. Hull, był to znak Wodnika, a pod tym znakiem znajduje się miesiąc styczeń. Otóż właśnie w styczniu Soleil był jego lokatorem. We wrześniu wyprowadził się: ten miesiąc znajduje się pod znakiem Wagi — był to drugi znak, widziany przez nieszczęsnego kupca. Obecnie mamy listopad: pod znakiem Strzeżca. Ostatni znak, który dano zmarłemu dzisiaj. Ale to są narazie tylko przypuszczenia, mówię to zupełnie otwarcie.

M-lle Gilberta Lusseau patrzyła na detektywa uważnie.

— Jest pan bardzo bystry, Mr. Dickson, — rzekła, — ale gdyby tak było, nieszczęśliwy Tymoteusz Hull musiałby wiedzieć cokolwiek o tej tajemnicy.

— To nie jest konieczne, Mademoiselle. Faktem jest, że ośrodkiem tego wszystkiego jest Soleil i że kupiec musiał coś przedsięwziąć przeciwko niemu, coś, co rozdrażniło tych dziwacznych „Synów Zodiaku“. Zdaje mi się, że wiem, co to było.

— Niemożliwe! — zauważyła młoda kobieta. — W jaki sposób może pan to wiedzieć?

— Z papierów, z planów i może nawet z aparatów, — odparł spokojnie detektyw. — Czy pani nie zauważyła, Mademoiselle Lusseau, że na ścianach jednego z pokoi na piętrze było dość dużo różnych przewodów, zbytecznych w takim domu? Że podłoga była w wielu miejscach pokryta plamami od kwasów? Że podrapane ściany świadczyły dobitnie o tym, że były tam kiedyś metalowe aparaty?

Mademoiselle Lusseau zaczerwieniła się i odwróciła oczy.

— Powiem pani więcej, — ciągnął Harry Dickson, — Mr. Tymoteusz Hull wyrzucił biednego Soleila na ulicę, gdyż źle mu płacił, ale jako człowiek tak praktyczny, czy nie zatrzymałby jego rzeczy? Gdzież więc one są? To właśnie chcieli wiedzieć „Dzielni Synowie Zodiaku“ i to próbowali sobie przywłaszczyć.

— Ależ oni mają dość pieniędzy, aby kupić i sprzedać wszystkich kupców na świecie! — zawołała Mademoiselle Lusseau.

— Niestety, Hull nie miał im co sprzedać, — odparł chłodno detektyw, — i śmierć jego była tylko egzekucja, aktem zemsty.

Zapadła cisza. Mademoiselle Lusseau rozmyślała ze zmarszczonym czołem. Spojrzenie lorda Dambridge'a przeniosło się z niej na detektywa.

— Cóż dalej, Mr. Dickson?

— Cóż dalej, Eksceleńco? Przypuszczam, że ci, którzy będą tropić Synów Zodiaku, zwyciężą wtedy, gdy odkryją istotę wynalazków Soleila.

Lord Dambridge zabrał głos:

— I oto nowe słowo pojawiło się nagle w rozmowie: Soleil. Któż to jest? Uczony, dziwak, biedak, człowiek, który znikł z horyzontu. I nagle tajemnicze siły przebywają morze, aby go tutaj szukać. Ci nieznan przestępcy, którzy zdają się rozporządzać ogromnymi bogactwami, gdyż pozostawiają stos złotych sztab, jakgdyby to było stare żelastwo, ci nieznan przestępcy zdecydowani są poruszyć wszystko, aby odnaleźć człowieka, biedniejszego, niż żebrak londyński. Co pan o tym powie, Mr. Dickson?

— Ma pan zupełną słuszość, Eksceleńco, lecz najważniejsze jest pytanie: kim jest Soleil? Zastąpię to jednak innym, nie mniej ważnym: gdzie jest Soleil?

W tej chwili zadzwonił telefon i lord Dambridge ujął słuchawkę. Goście ujrzeni, że zmarszczył się:

— Ktoś prosi pana do telefonu, Mr. Dickson, — rzekł, — sądziłem jednak, że nasza narada tutaj jest tajemnica, nikt nie wiedział o pańskiej obecności tutaj z wyjątkiem ucznia pana... ale to nie on!

Detektyw podniósł słuchawkę i z kolei na jego twarzy odmalowało się zdumienie, zmieszanie, a nawet wściekłość.

— Oto, co mi powiedział nieznan, który telefonuje, — rzekł, zwracając się do ministra. — „Są trzy zapasowe słuchawki przy telefonie lorda Dambridge'a, i chociaż telefon ten skierowany jest przede wszystkim do Harry Dicksona, byłoby dobrze, gdyby posłuchali go także wszyscy obecni, to znaczy lord Dambridge, Goodfield i panna Lusseau.“

— Tego już zawiele! — wybuchnął Jego Eksceleńca, nie mniej jednak przyłożył do ucha zapasową słuchawkę. Inni poszli za jego przykładem.

Jakiś nosowy głos zaczął mówić.

— Mówi wysłannik „Dzielnych Synów Zodiaku“. Ich obecność w Londynie jest konieczna do urzeczywistnienia dzieła, które podjęli dla dobra całego świata. Nie należy przeciwdziałać ich zamiarom. Prosimy więc Harry Dicksona, aby przestał zajmować się tą sprawą. Uroczej panie Gilberte Lusseau dajemy dobrą radę: niech powróci do Francji, będzie tam potrzebna po naszym powrocie. Lord Dambridge także niech osądzi ze zdrowym rozsądkiem, że nie należy poświęcać się niepotrzebnie, gdy może przydać się w innych wypadkach. Co do Goodfielda, to pozwoliliśmy mu słuchać, ażeby nie płakał i nie był zazdrosny. To poczciwy człowiek. Adieu, my nie prosimy nigdy więcej, niż jeden raz. Czy pan zgadza się, Dickson? Pańskie słowo honoru zupełnie nam wystarczy!

— Chwileczkę, — odparł Harry Dickson, — chciałbym powiedzieć jedno słówko Jego Eksceleńcy.

— Chwileczkę, niech i tak będzie. — odparł głos, — ale proszę nie przeciągać tej chwileczki, cierpliwość nie należy do naszych zalet.

Ale detektyw nie wykorzystał tego pozwolenia (lecz gwałtownym ruchem wyrwał słuchawki z rąk towarzyszy, poczem, nie dotykając aparatu zawołał w mikrofon:

— Nigdy!

W tej chwili rozległo się jakieś syczenie i ze zdumieniem obecni ujrzeni, że aparat telefoniczny skreślił się, jakgdyby był ze skóry, a w powietrzu uniosła się silna woń spalenizny.

— Do pioruna! — krzyknął detektyw, — trzy tysiące wolt co najmniej! Jeszcze chwila, Ekscelencjo, a byłibyśmy tylko kupką popiołu!

— Jak pan to przewidział, Dickson? — zapytał lord Dambridge.

— Od początku rozmowy słyszałem jakieś dziwne szmery, jakgdyby robotnicy pracowali na tej linii, a potem, słuchając, obserwowałem uważnie słuchawki, które trzymaliśmy w rękach. Wiedziałem, że były z ebonitu, i zdziwiłem się ogromnie, spostrzegłszy, że zostały zastąpione innymi, metalowymi, zreszcie powleczonymi czarną farbą. Zrozumiałem, że moja odmowa wywoła natychmiast śmiertelny atak.

Wzrok Mademoiselle Lusseau utkwiony był w twarz detektywa; nie widać było u niej żadnego wzruszenia, jedynie oczy jej błyszczały.

— Nie oczekiwałam mniej od pana, Mr. Dickson, — rzekła w końcu, — będzie to dla mnie wielki zaszczyt, jeśli będę pracować z panem.

Wszedł Goodfield, który udał się na sprawdzenie linii.

— Złoczyńcy pracowali poprostu przed naszym nosem. O dziesiątej wieczorem oficer lotnej brygady otrzymał rozkaz, podpisany pana ręką, Ekscelencjo, nakazujący ewakuację tego piętra przez policjantów. Na końcu korytarza znajdują się dwa izolatory z zielonego szkła. Przewód musiał więc iść tędy, ale sznury zostały już zdjęte.

— To jest dla nas dowodem ich potęgi! — zawołał lord Dambridge. — Kochany Dicksonie dziś rano kolega mój z rządu francuskiego, oznajmiając mi przyjazd M-lle Lusseau, zawiadomił mnie także o przybyciu tajemniczej bandy, jednej z najgroźniejszych, zagrażającej spokojowi całego świata. Jeden dzień minął za ledwie, a już dokonali oni czynów straszliwych i przerażających. Liczę już tylko na pana!

Straszna noc

Harry Dickson pożegnał Miss Lusseau po wyjściu ze Scotland - Yardu; młoda francuzka mieszkała niedaleko, na Tudorstrect. Noc była chłodna, lecz niezwykle pogodna, najjaśniejsza chmurka nie przesuwiała się po niebie, najłżejszy obłoczek mgły nie zaćmiewał blasku isnącej Tamizy. Detektyw postanowił iść pieszo.

Big - Ben wydzwonił w oddali dwa głuche uderzenia i Harry Dickson machinalnie sprawdził swój zegarek: była druga nad ranem.

Był już na roku Lackerstreet, gdy nagle odniósł wrażenie, że coś dziwnego dzieje się dokoła niego. Zdawało mu się, że widzi zdaleka grupę ludzi wokół jednej z latarni elektrycznych. Gdy postąpił jeszcze parę kroków w tym kierunku, ludzie ci utworzyli jakgdyby krąg, poczem rozbrzmiał gwizdek. Odpowiedział mu inny gwizdek, potem jeszcze inny, dalszy.

Harry Dickson odwrócił się: inna grupa ludzi, których nie widział przechodząc, stała za nim, u wylotu małej uliczki Lincolns Field. Momentalnie zrozumiał cały manewr: usiłowano go okrążyć.

Pomiędzy dwiema grupami nie było już żadnej przecznicy. Po obu stronach ulicy wznosiły się wysokie, ponure domy, pograżone w ciemnościach. Pierwszym odruchem detektywa była chęć zadzwonienia do którejkolwiek bramy, lecz w tej chwili przeciwnicy jakgdyby przeczuli to, gdyż grupa, znajdująca się za nim, przybliżyła się gwałtownie. Dickson ujrzał dziesięć cieni, idących ku niemu. Szedł więc dalej, wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Na prawo ujrzał wylaniającą się z mroku aleję Whitestone Parku. Problem ucieczki nie był taki prosty: albo przeciwnicy mieli zamiar zabić go, a wtedy sprawa była jasna, gdy tylko przyspieszy kroku, wydobędę rewolwery; albo też chcieli schwytać go żywcem.

Ta ewentualność dawała słabą nadzieję ocalenia. Ale doprawdy bardzo słaba...

Nagle coś poruszyło się po jego lewej stronie i zobaczył na progu pijaka, który właśnie wyszedł i zamierzał odejść. Momentalnie pojął, że nadarza mu się okazja. Skreślił gwałtownie i ukrył się w cieniu bramy w chwili, gdy nocny przechodzień wychodził z niej; był to mężczyzna wysoki i mógł być zdaleka wzięty za detektywa. Wahał się on przez chwilę co do kierunku, wreszcie powędrował w stronę Lincolna Field.

Rozległ się znów dźwięk gwizdka, po nim następny. Prześladowcy dali się nabrać. Mężczyzna kroczył wesoło i niezbyt pewnie, dzięki swemu pijaństwu.

Nagle Harry Dickson usłyszał hałas szybkich, licznych kroków i cała grupa tych, którzy odcinali mu odwrót, przebiegła obok niego. Widział, że skierowali się w stronę, w którą wszedł jego mimowolny wybawca. Co robić? Uciekać? Przeciwnicy, z pewnością bardzo szybko zauważą podstęp i powrócą.

Ręka jego natrafiła na guziczek dzwonka. Nacisnął go. Dom, w którego śieni znalazł schronienie, był bezwzględnie domem czynszowym, którego drzwi od ulicy otwierają się automatycznie za przyciśnięciem dzwonka i gdzie wchodzący musi podać swoje nazwisko dozorcę.

— ...son, — mruknął detektyw grubym głosem.

— ...anoc, — odpowiedział mu także jakiś zaspiany głos.

Zyskał na czasie, ale nic więcej. Wiedział dobrze, że prześladowcy nie dadzą się oszukać; że dom, w którym się ukrył będzie napewno wkrótce przez nich odnaleziony i przeszukany.

Nie chcąc zapalać światła wchodził poomacku po ogromnych schodach. Był już na czwartym piętrze, gdy dzwonek od ulicy zadźwięczał gwałtownie.

Wróg był tu... szybciej, niż detektyw przypuszczał.

Wyciągnawszy rewolwer, przechylił się przez poręcz schodów i czekał. Ale zamiast tupotu wielu nóg, którego oczekiwał, usłyszał kroki jednego człowieka, wolno przechodzącego przez hall i nazwisko, rzucone gardlanym głosem:

— Sartoni!

Rozbłysło światło, narazie tylko na parterze i na pierwszych dwóch piętrach. Mieszkaniec domu wchodził na górę ciężkim krokiem i wstępował

teraz na trzecie piętro. Wśród ciemności Harry Dickson odnalazł ręką na niskim sułtacie żarówkę elektryczną i wykręcił ją. W tej samej chwili usłyszał na dole szelest przekreścanego wyłącznika, lecz żadne światło nie zapaliło się.

Człowiek w ciemnościach zaklął i zapalił zapalniczkę. Skrzypnęło jeszcze kilka jego kroków, potem zapanowała cisza.

Przechylony ciągle przez poręcz i wpatrzony w mroki, Harry Dickson rozmyślał, a rozmyślenia te nie były wcale wesołe. Jak to się dzieje, że wrogowie, którzy musieli już napewno odkryć jego podstęp, nie gonią go z największą możliwą szybkością? Jak to się dzieje, że w tej chwili wchodzi tu jeden człowiek, skoro przed chwilą zaledwie cała ulica Kingsway była zupełnie pusta?

Nagle cichy, ostrożny szmer zwrócił jego uwagę. Kroki skrzypiały pod nim, nieznajomy wciąż zbliżał się do niego w ciemnościach.

I Harry Dickson zrozumiał:

Człowiek, który wchodził na górę wcale nie był w tym domu bardziej u siebie, niż on sam. Chciał zmylić go i teraz przygotowywał się do skoku, jak tygrys.

Detektyw przycisnął się do ściany. Nieznajomy wchodził wciąż wyżej; kroki jego były już zupełnie niedosłyszalne, ale zdradzało go coś innego: mdły zapach tanich perfum. Detektyw poczuł cliknięcie woń goździków i jaśminu. Wtem skrzypnął ostatni stopień i nieznajomy znalazł się na piętrze. Harry Dickson ujrzał potężną sylwetkę i bez namysłu skoczył na nią. Z całej siły wymierzył cios w głowę: usłyszał szcęk złamanej kości, lub wybitych zębów a potem głuchy jęk bólu. Silnymi dłońmi uchwycił potężny kark i zacieśnił rścisk. Przeciwnik opierał się już bardzo słabo, wkońcu zwiśł ciężko w ramionach detektywa.

Ten złożył go na ziemi i oświetlił kieszonkową lampką jego twarz: była to typowa fizjognomja przestępcy, zniekształcona jeszcze silnym ciosem pięści detektywa. W fałdach ciemnego płaszcza coś błysnęło i Dickson ujrzał długie sztylet w zaciśniętych dłoniach zemdlonego.

— Przypuszczam, — rzekł do siebie, — że jest to zwykły morderca na usługach tych panów. W każdym razie znam teraz ich zamiary: chcą mnie zamordować! Są to ludzie przedsiębiorczy.

Przeszukał kieszenie swego prześladowcy, ale znalazł tylko pęk wytrychów, rewolwer, kastet i kilka banknotów.

— Podaruję je Goodfieldowi, — rzekł do siebie, — ale czas nagli.

Wszedł na najwyższe piętro i otworzył okno, wychodzące na obszerną platformę. Była to droga bardzo dogodna: z tej pierwszej płaszczyzny mógł z łatwością przejść na następną, potem na trzecią. Obliczył sobie, że po pewnym czasie, gdy znajdzie jakąś drabinę pożarową, będzie mógł zejść na Drury Lane, której światła widział z daleka. I w tej chwili usłyszał zupełnie nieoczekiwany dźwięk: ktoś kichnął.

Harry Dickson błyskawicznie upadł płasko na dach i pozostał nieruchomy; po chwili usłyszał szelest kroków i podnosząc ostrożnie głowę ujrzał dwa cienie, posuwające się na dachu, na który miał zamiar przejść. Odwróciwszy głowę w drugą stronę ujrzał pod sobą ulicę, ale z jakiej ogromnej wysokości! A na ulicy kilka niespokojnych postaci przechadzało się w mrokach.

Detektyw pomyślał o odwrocie tą samą drogą, ale wtedy ujrzał jeszcze jeden cień na tle nieba; odwrót został mu odcięty również z tej strony...

Raz, dwa, trzy... Big-Ben wydzwonił trzecią.

Światła na Drury Lane pogasły, maleńki obłoczek pojawił się nad rzeką i Harry Dickson obliczał w myśli swoje szanse, gdy wtem spostrzegł na końcu szeregu dachów okno jeszcze oświetlone i, pomimo chłodu, otwarte. Gdyby zdołał tam się dostać, byłoby to może ocalenie! Gdy tak patrzył w tę stronę, światło zgasło, ale detektyw zapamiętał położenie i ruszył w tym kierunku, do ostatecznej przystani.

Posuwając się naprzód dotarł do skraju dachu, nie ściągawszy na siebie uwagi ludzi, pilnujących na sąsiednich platformach. Otwarte okno było już tylko o kilka stóp od niego: mógł go dosięgnąć, wyciągnawszy rękę.

Na dachach, przed nim i za nim, gorączkowało się. Prześladowcy nie mogli zrozumieć, w jaki sposób detektyw wymknął im się z rąk. Wtem doszedł do uszu detektywa jeszcze jakiś inny dźwięk: krótki, urywany oddech człowieka, który przebywał jakąś niebezpieczną drogą. Odgłos ten stawał się coraz bardziej dosłyszalny, coraz bliższy. Wreszcie dwie silne dłonie uchwyciły brzeg dachu i ktoś próbował wciągnąć się na górę przy pomocy siły pięści. Harry Dickson posunął się nieznacznie w bok i znalazł się twarzą w twarz z jakimś potwornie brzydkim mężczyzną, wydzielającym silną woń alkoholu.

Nieznajomy krzyknął ze zdziwienia i w jego małych oczkach ukazał się błysk radości. Otworzył usta, aby wydać okrzyk triumfalny, gdy wtem spadła nań pięść detektywa. Uderzenie było tak gwałtowne, że napastnik cofnął się instynktownie obronnym ruchem. Byłoby to dobre na ziemi, ale nie na najwyższym szczeblu drabinki pożarowej!

Było to krótkie, gwałtowne i straszne.

Mężczyzna zachwiał się, zsiniał i krzyknawszy przeraźliwie, znikł. Po kilku sekundach rozbrzmiało głuche uderzenie na bruku ulicy.

Tym razem Harry Dickson nie czekał dłużej i posunął się wzdłuż dachu do jego krawędzi. Wziął rozmach i zaryzykował akrobatyczny skok. Powietrze gwizdnęło mu w uszach, lecz wylądował szczęśliwie na kamiennym parapecie uchyłonego okna.

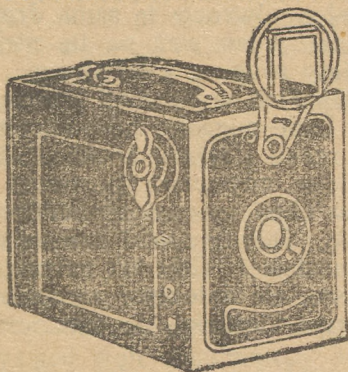
Na dachach rozległy się kroki i liczne cienie przesuwwały się, szukając pilnie uciekiniera. Nie mogli go jednak dostrzec, gdyż znajdował się on już w nieznanym pokoju i zamknął za sobą okno.

Przez kilka chwil Harry Dickson stał nieruchomo, aż oczy jego przyzwyczyły się do ciemności. Pokój był nieduży, stał w nim jedynie stół, kilka krzeseł i kredens. Lecz w głębi ujrzał detektyw drzwi, a pod nimi wąską smugę światła.

Ktoś widocznie czuwał za tymi drzwiami, gdyż słysząc było wyraźnie szelest przewracanych kartek.

Było to jednak jedyne wyjście z pokoju. Czy należało więc powrócić na drogę prowadzącą przez dach i narazić się na śmierć z rąk złoczyńców, których ilość zdawała się wzrastać z każdą chwilą? Czy też przeciwnie, należało zaufać właścicielowi tego mieszkania, czytającemu książkę za zamkniętymi drzwiami?

Harry Dickson zdecydował się na tę drugą ewentualność. Niech ten człowiek wyda go w ręce policji i wtedy wszystko będzie dobrze.



APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord”, efektywnie wykonany, wysyłamy łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za zł. 8,95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona 1.
skr. poczt. 802 H. D.

Cicho podszedł do drzwi i zapukał; szelest papieru ustał i zaległa głęboka cisza, jak gdyby ktoś pilnie nadłuchiwał. Detektyw zapukał raz jeszcze.

— Proszę! — rzekł wyraźny głos.

Harry Dickson usłyszał: otworzył drzwi i zamknął je zaraz za sobą. Znalazł się w niedużym pokoju zarzuconym książkami, gdzie, za szerokim stołem siedział starzec z siwą brodą i czytał przy świetle lampy.

— Dobry wieczór, panie Dickson! — rzekł przyjaźnie.

Detektyw oniemiał ze zdumienia; spojrzał uważnie na starca, uśmiechniętą twarz, której nie znał, której nie widział nigdy w życiu.

— Bardzo żałuję, że nie mogę odpowiedzieć panu, wypowiadając z kolei pana nazwisko, Sir. — odparł.

— Nic nie szkodzi, — rzekł starzec, potrząsając głową. — Czekałem na pana i skracałem sobie czas czytaniem dzieł Shakespeare’a. Cóż to był za człowiek, panie Dickson, co za geniusz!

— Pan czekał na mnie?... — mruknął detektyw.

— Spędziłem dużo lat mego życia w puszczech i najdzikszych dżunglach, — ciągnął dalej staruszek, — i nauczyłem się tam, że naganiacze dzikiej zwierzyny zawsze w końcu doprowadzają swe ofiary do miejsca z góry upatrzonego.

— To znaczy, — rzekł gorzko detektyw, — że wpadłem w zasadzkę!

Staruszek uczynił gest zaprzeczenia:

— Myśli pan o tych drabach, którzy ścigają pana i depczą panu wprost po piętach, a nie mogą pana dojrzeć? O, nie! Widziałem tylko, jak wyszedł pan na pierwszą platformę, potem przechodził pan z dachu na dach, aż znalazł się pan na przeciw mego mieszkania. Zapaliłem więc na chwilę światło w sąsiednim pokoju, aby zdążył pan zwrócić na nie uwagę i aby pan zrozumiał, że wejście tutaj jest jedyną szansą ocalenia. Umysł pański pracuje niezwykle szybko, to też plan mój udał się. A więc jest pan u mnie i witam pana, jako młodego gościa. Napije się pan whisky?

— Czy mógłbym przedtem zapytać pana, komu zawdzięczam to cudowne ocalenie? — spytał Harry Dickson z bijącym sercem.

Starzec zaśmiał się cicho i podał detektywowi karafkę świeżej wody oraz butelkę „Black an White”.

— Czytam w pańskich myślach, — rzekł — przypuszczalnie wziął mnie pan za starego Soleila i jest pan z tego powodu mocno wzruszony. Niestety, Mr. Dickson, nie jestem Soleilem, lecz najpo-

korniejszym z jego wielbicieli i jeżeli pozwoliłem panu przyjść tutaj do mnie, to tylko dlatego, aby pan pomógł mi go znaleźć.

— Kim pan jest, Sir? — zapytał detektyw.

— Jestem Wodnikiem, — odparł z prostotą starzec, zwracając na niego śmiejące się oczy.

— A więc członek bandy Zodiaku!

— Dziwna banda, prawda, Mr. Dickson? — rzekł starzec.

Coś w jego głosie uderzyło detektywa. Stał przez chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wtedy tajemniczy zbawca zaśmiał się tak młodzieńczo, że Dickson miał nowy powód do zdziwienia, ale tym razem nie trwało to długo.

— Niebezpieczną grę prowadzisz tutaj, kolego, — rzekł uśmiechając się i wyciągając rękę do staruszka.

Ten ostatni uściskał ja mocno.

— Jest pan diabelnie sprytny, Dickson, nie stracił pan zbyt wiele czasu na dociekania. Mam zaszczyt przedstawić się: Vincente Mendozza, z policji hiszpańskiej, od dziewięciu miesięcy na tropie „Dzielnym Synów Zodiaku”, niestety dotychczas bez większych rezultatów.

— A jednak jest pan przecież pośród nich! — zdziwił się detektyw.

— To mnie właśnie najbardziej gnębi, — odparł smutnie Mendozza. — Opowiem panu moją historię.

Kilka miesięcy temu, pewnego wieczora w Kadyksie pijani marynarze obrazili przechodzącego starca. Ten wydawał się być bardzo nerwowym, co powiększało jeszcze złośliwą radość marynarzy. Nagle starzec stracił panowanie nad sobą, wyciągnął rewolwer i zabił na miejscu trzech z pośród nastpników. Odpowiedź nastąpiła natychmiast: staruszek został zamordowany i odniesiono go konającego do szpitala. Otoczono go staranną opieką, aby osłodzić mu ostatnie chwile jego życia. Zapytano go o adres rodziny i przyjaciół: nie posiadał ich. Nie znaleziono przy nim żadnego dowodu osobistego, lecz dość znaczną sumę pieniędzy i jakieś dziwne, miedziane krążki.

Tajemniczy ten mężczyzna zdawał się mieć coś na sumieniu i w przeddzień swojej śmierci wyznał policji istnienie dziwacznej bandy Zodiaku. Nie, Mr. Dickson, nie śmieliśmy się wcale, gdyż już spostrzeżliśmy jej wpływy w Hiszpanii. Wiedzieliśmy, że ci potężni złoczyńcy przygotowują coś przeciwko całemu światu, ale co? Tego nawet konający nie umiał nam wytłumaczyć.

— Zapomniałem już, jak brzmi moje prawdziwe nazwisko, — mówił, — to nie ma zresztą żad-

nego znaczenia, ale jestem inżynierem. Często dostaje rozkaz wyruszenia w drogę, pochodzący nie wiem skąd i nie wiem od kogo. Pieniądze otrzymuję, nie żądając ich. Dotychczas nie miałem nic szczególnego do wykonania, kazano mi jedynie pograżyć port w ciemnościach, na dwadzieścia minut. Było to pięć miesięcy temu. Nie pytajcie mnie, w jakim celu, bo nie wiem.

— Czy znasz innych członków naszej bandy? — zapytano go.

— Przysięgam wam, że nie!

— W jaki sposób więc porozumiewasz się z nimi?

— Mieszkam w Paryżu w małym mieszkanku przy ulicy Dauphine, pod nazwiskiem Durieux, ale wolno mi przebywać tam tylko w styczniu, w miesiącu, który znajduje się pod znakiem Wodnika.

Chory zatrzymał się i zakończył już swoje dziwne wyznania.

— Ale moje własne rozmyślenia przekonały mnie, że banda Zodiaku była bardzo potężna. Dwadzieścia minut ciemności w Cherbourgu wystarczyły, ażeby zniszczyć dwa wielkie pancerniki, zakotwiczone w przystani. „Przypadkowy wybuch prochu w składach“, pisały dzienniki. Kłamstwo!

— Przez kogo i w jaki sposób został pan członkiem bandy? — zapytano go.

Chory chciał odpowiedzieć, ale był bardzo słaby. Doktor orzekł, że należy przesłuchanie odłożyć do jutra.

W ciągu nocy zmarł.

W agonii mruczał jakieś słowa bez związku:

— Panna i Strzelec... Strzelec to śmierć i kara! Te dwa znaki Zodiaku powtarzały się stale w jego beładnym bredzeniu. Umarł, nie odzyskawszy przytomności.

— I wtedy pan stał się panem Durieux, — a raczej Wodnikiem!

Mendoza uśmiechnął się potwierdzająco.

— Rzeczywiście stałem się panem Durieux, nieszkałem przez cały styczeń w Paryżu przy ulicy Dauphine i otrzymałem trzykrotnie okazałe sumy pieniężne. W końcu miesiąca, gdy przygotowywałem się do powrotu do Hiszpanii z niczym, otrzymałem list, pisany na maszynie, zawierający rozkaz pozostania jeszcze dwa dni w Paryżu, w moim mieszkaniu. Przed kilku dniami otrzymałem nowy rozkaz, tak zredagowany: „Przeprowadzka do Londynu. Cel: odnalezienie za wszelką cenę starego uczonego francuskiego, nazwiskiem Soleil, zamieszkać przy Drury Lane 177“. I oto jestem tutaj, Mr. Dickson!

Mendoza zgasił światło i wyszedł do sąsiedniego pokoju, skąd powrócił po chwili z uradowaną miną.

— Nieprzyjaciel opuścił teren. — rzekł, — pokaże panu wyjście przez podwórze; wychodzi ono na wąską i mało uczęszczaną uliczkę. Niech pan nie szuka mnie tu więcej, ja sam dam panu znać o sobie.

Harry Dickson bez przeszkód wyszedł na ulicę i, wraz z pierwszymi brzaskami świtu znalazł się w swoim mieszkaniu na Bakerstreet.

Dzień niespodzianek

Następnego dnia Mademoiselle Lusseau przyjechała detektywa w swoim miłym mieszkaniu na Tudorstreet. Przywitała go okrzykiem radości:

— Czekalam na pana z niecierpliwością, drogi przyjacielu! Chcę pokazać pana pewnej przemilej

osobie, która marzy o tym, aby pana widzieć i słyszeć, za wszelką cenę. Jest nią ciotka Marta.

— Ciotka Marta? — spytał detektyw. — Zdawało mi się, że nie ma pani nikogo, że jest pani zupełnie sama na świecie!

— Dzięki Bogu, nie jest tak. Pozostał mi najlepszy z ziemskich aniołów stróżów, ciotka Marta. Przebyła kanał La Manche, pomimo morskiej choroby, aby mnie nie zostawić samej w Anglii!

W tej chwili właśnie weszła do pokoju tęga dama i złożyła Dicksonowi najbardziej uniżony i wyszukany ukłon.

— Mr. Dickson, — rzekła bez żadnych wstępów, — ojczyzna pana pełna jest gangsterów i kidnapperów, a nawet nie wolno tu ludziom wypić ani kieliszka!

— Zapewne szanowna pani miała na myśli Amerykę, — odparł Dickson, z uśmiechem.

— Ameryka i Anglia to wszystko jedno! — odpowiedziała dama. — Jest tu mnóstwo bandytów, którzy mogliby zrobić jakąś krzywdę mojej siostrzenicy, dlatego więc przyjechałam. Wiem wszystko, gdyż ona nie ma przede mną tajemnic, a często pomagam jej nawet dzięki mojemu doświadczeniu. Ta sprawa z ogrodem zoologicznym, pełnym dzikich zwierząt o niemożliwych do zapamiętania nazwach, nie wróży mi nic dobrego!

— Ciotka Maria pomyliła bandę Zodiaku z Zoo! — zawołała panna Lusseau. — Usłysz pan jeszcze z pewnością więcej takich pomylek, zapewniam pana!

Rozmowa toczyła się jeszcze przez pewien czas w tym tonie. Harry Dickson zauważył, choć nie dał tego poznać po sobie, że M-lle Lusseau w tajemniczość we wszystkie sprawy i dlatego nie mówił nic o wypadkach ubiegłej nocy. Z tej także przyczyny zakończył szybko wizytę i powrócił do poważniejszych zajęć.

Scotland Yard został powiadomiony przez niego o jego przygodzie i z polecenia lorda Dambridge'a musiał zgodzić się na tajną straż, pilnującą go z ukrycia na każdym kroku. Trzech inspektorów w cywilu szło w pewnej odległości za nim, uważając pilnie na wszystko, co się działo wokół niego.

Wkrótce jednak detektyw zdał sobie sprawę, że nieprzyjaciel narazie przestał go ścigać. Powrócił bez przeszkód do Yardu, gdzie przedłożono mu raporty poranne; ciało bandyty z Kingsway ani też ciało człowieka, zrzuconego na bruk Drury Lane nie zostały odnalezione. Próby znalezienia odcisków palców nie dały żadnego rezultatu.

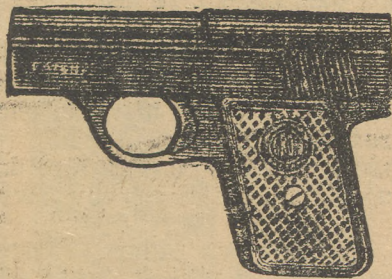
Ale jeden z młodych inspektorów, Lew Carruthers, spostrzegł ślady krwi, wiodące aż do Essexstreet. Stojący tam na posterunku policjant widział o świcie auto ze zgaszonymi światłami, jadące z największą szybkością w stronę Tamizy. Policjant ze służby rzecznej widział w kilka minut potem to samo auto i odruchowo zanotował numer. Zadzwieczyły telefony i dowiedziano się, że wóz ten został poprzedniego dnia skradziony pewnemu szanowanemu obywatelowi z ulicy Leadenhallstreet, poważnemu kupcowi nazwiskiem Wiggs.

Oczywiście gentleman ten został natychmiast wezwany do Scotland Yardu.

Był to niski, otyły człowiek o poczciwej twarzy.

— Utrata auta nie zmartwiła mnie zbyt, — oświadczył na wstępie, — ale gdy okazało się, że posłużono się nim w celu popełnienia przestępstwa, czuje się zobowiązany do udzielenia w miarę możliwości pewnych wyjaśnień.

Sensacyjna nowość 1938!! Automat-pistolet „GROM“



Fason belgijski Kal. 6-cio mm. Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk ogłuszający. Idealna ochrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rekojęseć kryta lśniącym bakelitem! Waga 200 gr długi 10 cm. szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena

tylko zł. 6.95, 2 sztuki 13.50. — Setka naboju syst. „Flobert“ zł. 3.65. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona I. skrz. poczt. 802 H. D. Uwaga! Wystrzegaj się taniej tandety, polecanej przez pokatnych sprzedawców, którzy przyrzekają magazynki, naboje, futerały i nie dodają. Zamawiając u nas, be dziecie zadowoleni.



— Czy może pan rzucić nowe światło na tę sprawę? — zapytał Harry Dickson, czestując go papierosem.

— Przypuszczam, że tak! — odparł poważnie Mr. Wiggs. — Zwykle wieczorem mój wóz znajduje się w garażu. Stamtąd też znikł, choć na drzwiach nie widać śladów włamania. Szofer mój, nazwiskiem Thornycroft, nie przyszedł dziś rano do pracy, choć zawsze był bardzo obowiązkowy.

— Czy pan go podejrzewa?

— Tak i nie. Podejrzewam go nie o kradzież auta, lecz o wypożyczenie go sobie na przejażdżkę, oczywiście z dziewczyną. To była jego jedyna wada, ale nie zwracałem mu uwagi, gdy to nie przeszkadzało mu w wypełnianiu obowiązków. Ale przecież nie mogę pozwolić, aby posługiwał się moim wozem dla przypodobania się jakiejś gascie!

— Zdaje mi się, że jest pan przekonany o słuszności swoich domysłów, Mr. Wiggs! — zauważył Harry Dickson.

— Tak, Sir, i pokażę panu dowody. Mam bardzo rozwinięty węch; gdy wszedłem do garażu, proszę zgadnąć, jaki zapach poczułem? Powie pan, że benzyny i oliwy? Nie, zapach fiołków! To chyba wystarczy, aby pana upewnić, że była tu kobieta!

— Gdzie mieszka pański szofer?

Mr. Wiggs wymienił odludną uliczkę w dzielnicy Mile - End i dodał, że posłał już tam człowieka, lecz ten zastał drzwi zamknięte.

— Idziemy tam! — rzekł krótko detektyw.

Goodfield, obecny przy rozmowie, spojrzał na zegarek:

— Niepokoi mnie tylko, — rzekł, — że Carruthers nie wrócił jeszcze, ani nie dał znać. Ale zostawię tu dla niego polecenie i pójdę z wami.

— Jeżeli jestem zbyt cenny, proszę, nie krepujcie się panowie i powiedzcie mi, — rzekł Wiggs.

Detektywi zaprotestowali i poprosili kupca, aby im towarzyszył.

Szofer Thornycroft mieszkał w małym, nieco odosobnionym domku z ogródkiem. Jego posługaczka widocznie także znalazła drzwi zamknięte, gdyż napisała na nich kreda, że wróci w południe. Zapukano, lecz nie było odpowiedzi. Harry Dickson zdecydował się niezwłocznie wylamać zamek. Gdy spróbował wytrychu, twarz jego sposepniała:

— Ktoś był tu już przed nami, — mruknął. — Zamek jest złamany wprawna, lecz zbyt nerwową ręką.

Wreszcie udało się otworzyć drzwi. — Przeszli przez korytarz i znaleźli się w jadalni.

— Boże święty, jaki tu nieład! — zawołał Mr. Wiggs. — Dziwi mnie to ogromnie, gdyż Thornycroft był osobnikiem porządku.

Nagle Harry Dickson podniósł rękę i oczy jego rozszerzyły się: w głębi pokoju widać było zamknięte drzwi, na których dwie faliste, kredą narysowane linie przypominały mu tragiczny znak Wodnika!

— Cóż za pomysł, rysować na drzwiach! — rzekł Mr. Wiggs, podnosząc dłoń.

— Proszę tego nie dotykać! — krzyknął Goodfield. — Zobaczymy, co jest za tymi drzwiami.

Kupiec nacisnął klamkę i otworzył, lecz nagie cofnął się gwałtownie:

— Nie chcę widzieć tego! — zawołał, przerażony.

Na podłodze leżały dwa broczące krwią ciała.

— Mój biedny Thorny... — jęknął Mr. Wiggs.

— Carruthers! — krzyknął Goodfield, pochylając się nad leżącym.

— Szofer nie żyje — rzekł Harry Dickson.

— Ale Carruthers żyje, — zawołał Goodfield.

Rzeczywiście inspektor oddychał jeszcze, choć bardzo słabo.

Harry Dickson powiódł spojrzeniem po pokoju.

— Walka odbyła się w sąsiednim pokoju, — oświadczył — a dramat zakończył się tutaj. Teraz należy działać jak najszybciej. Odwieziemy Carruthersa do Yardu i opieczetujemy drzwi tego domu, poczem rozpoczniemy poszukiwania.

Mr. Wiggs był blady i drżał na całym ciele.

— Chciałbym wrócić do domu, — wyjąkał, — czuję, że jestem chory, zupełnie chory...

— Dobrze, — rzekł Goodfield, — bardzo proszę jednak, aby był pan w każdej chwili do naszej dyspozycji. Porozumiemy się z panem jeszcze dzisiaj.

Kupiec nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i wybiegł szybko.

Gdy przybyli do Yardu dyżurny lekarz obejrzał rany inspektora Carruthersa. Zadano mu dwa poważne ciosy sztyltem, jednak życie jego nie było zagrożone. Opatrzony i zabandażowany, ranny otworzył oczy:

— Pan Goodfield, — szepnął, widząc nad sobą twarz zwierzchnika, — och, myślałem, że już nigdy pana nie zobaczę!

— Proszę nie mówić zbyt dużo, — upomniał lekarz.

— Ale ja muszę mówić!

Podano mu krople, które go nieco wzmocniły.

— Dzisiaj rano... o świcie... szedłem śladami Thornycrofta, aż do jego mieszkania...

— Czy to pan wylamał zamek? — zapytał Harry Dickson.

— Nie, uczynił to ktoś przede mną. Popieknem to głuźstwo, że nie zwróciłem na to uwagi. W salonie ktoś rzucił się na mnie. Uderzono mnie w chwili gdy otwierałem drzwi w głębi pokoju, które były poprzednio uchylone.

— A potem wciągnięto pana do sąsiedniego pokoju... — zgadywał Goodfield.

Chory potrząsnął głową przecząco:

— Nie, sam się tam wczółgałem, gdy mój przeciwnik odszedł, myśląc, że umarłem. Mami wrażeń, że się spieszył, gdyż słyszałem, że biegł szybko.

Harry Dickson wstał nagle.

— Carruthers, musisz wyteżyć teraz swoją pamięć: czy widziałeś na tych drzwiach linie narysowane kredą?

Inspektor rzucił mu zdziwione spojrzenie:

— Nie, Mr. Dickson, nie tam nie było!

— Do stu diabłów! — zaklął detektyw. — Jaki jest numer telefonu Wiggsa?

Podano mu go i detektyw natychmiast zażądał połączenia. Kobięcy głos odpowiedział mu:

— Co pan mówi? Skradziono nasze auto?

Ależ nie mieliśmy o niczym pojęcia, a nawet nie otworzyliśmy jeszcze garażu, gdyż to należało do samego Mr. Wiggsa, a on już od dziesięciu dni jest w podróży na kontynencie...

Harry Dickson odrzucił słuchawkę z wściekłością.

— Oszukano nas! — zawołał.

— A więc mr. Wiggs, z którym rozstaliśmy się przed chwilą nie był prawdziwym Mr. Wiggsem? — zdumiał się Goodfield. — Pocóż on w takim razie sam wchodził w paszczę wieloryba?

Harry Dickson skrzyżował ręce na piersiach i zaśmiał się gorzko:

— Z dwóch powodów, Goodfield. Spójrz na zegarek i pomyśl, w jakim tempie wszystko się odbyło. Bandyci musieli obliczyć każdą minutę, co mówię, każdą sekundę! Ale w pośpiechu Mr. Wiggs obawiał się widocznie, czy nie zostawił jakichś kompromitujących śladów. Musiał więc powrócić raz jeszcze, aby zatrzeć to, co wydawało mu się koniecznym.

— A druga przyczyna?

— Ta znów była natury ściśle psychologicznej. Nasz przeciwnik chciał pokazać nam, że jest równie silny, jak zręczny i odważny.

— A więc to nasz rzekomy Wiggs zabawił się przed naszym nosem w rysowanie głupich znaków na drzwiach! — zawołał Goodfield. — Ależ sprawa jest prosta, znamy przecież jego wygląd!

— Tak pan myśli, — rzekł Dickson ironicznie, — a teraz nasz rzekomy Wiggs pozbawiony swojej okazałej brody, chodzi zapewne po Londynie w zupełnie nowej postaci!

— Cóż to za podły zawód! — jęknął intendent.

★

Harry Dickson napróżno usiłował w ciągu dnia porozumieć się z Mendozą. Drzwi jego mieszkania były zamknięte, a dozorca domu nie umiał dać mu żadnych informacji.

Rozczarowany powrócił na Bakerstreet i spędził resztę dnia na przeglądaniu swoich specjalnych notatek, ale nie znalazł nic nowego w sprawie dziwacznej bandy Zodiaku.

Tom Wills, który wędrował po Londynie w poszukiwaniu tajemniczego Soleila, powrócił także z niczym, przyniósł jednak dość ciekawą wiadomość.

— Czy wie pan, kogo musimy wziąć na spytki, Mr. Dickson? — spytał, mrugając chytrze. — Nasza poczciwa Mrs. Crown we własnej osobie.

Ale czcigodnej gospodyni nie było w kuchni. Przygotowała zimną kolację, składająca się z wołowiny, duszonego ozoru i apetycznej leguminy. Na stole leżała kartka: „Musiałam wyjść, proszę zjeść na zimno. Smacznego“.

— Doskonale, — rzekł Harry Dickson, — usiądźmy do stołu. Ale o co chciałeś zapytać ja, Tomie?

— Sąsiad Mr. Hulla widział ją, gdy wyszła ze sklepu, znikła za rogiem Barlowstreet i po chwili wróciła. Tego nam ona nie opowiedziała.

Harry Dickson, który nie był bardzo głodny i właśnie zamierzał nałożyć sobie na talerz kawałek ciasta z rodzynkami, zastygł nagle w bezruchu, trzymając nóż i widelec w powietrzu:

— Tomie, — rzekł zduszonym głosem, — poraz pierwszy Mrs. Crown upiekła taką leguminę... jest doskonałą kucharką, ale nie ma zamiłowania do ciast.

— Zreszta wie, że my nie lubimy specjalnie tego rodzaju przysmaków — dodał Tom.

Harry Dickson odrzucił swoje nakrycie i wzięwszy kawałek ciasta zamknął się w laboratorium. Powrócił stamtąd po pewnym czasie z płonieniem w oczach:

— Ciasto z rodzynkami i migdałami! — zawołał. — Nic nie mogło lepiej zamaskować smaku kwasu pruskiego, którym jest przesycone!

— Kwas pruski! — jęknął Tom.

— Ta legumina zawiera go tyle, że można otruć cały szwadron ludzi!

— Mrs. Crown! — ubolewał Tom.

— A jednak słyszałem, jak ona uwijała się po kuchni... — rzekł w zamyśleniu detektyw.

— Ależ... — krzyknął Tom. — Obawiam się, że rozumiem, mistrzu!

Harry Dickson chciał odpowiedzieć, gdy wtem drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła zadyuszana Mrs. Crown.

— Oszukali mnie! — zawołała. — Mam nadzieję, Mr. Dickson, że odnajdzie pan tych kłamców!

Spojrzenie jej padło na zastawiony stół:

— Jakto? — zawołała. — Panowie jedzą na zimno? Nie chcieliście nawet poczekać? Myślę, że nie umarlibyście z głodu! I to ciasto... Boże drogi, przecież to do wyrzucenia!

— Proszę nam opowiedzieć, co się pani przydarzyło, Mrs. Crown — rzekł Dickson.

— Dziś popołudniu jakiś mały posłaniec, taki gruby, że sapał, jak foka, przyszedł zawiadomić mnie, że moja przyjaciółka, Miss Pfefferkorn, chce się ze mną natychmiast zobaczyć. Nie mogłam odmówić przyjaciółce, a zreszta ona mieszka niedaleko, na Paradisestreet. Gdy doszliśmy do tej ulicy, posłaniec, ten wstretny, mały człowieczek, powiada do mnie, stając przed jakimś pustym domem:

— Właśnie ten dom zamierza ona wynająć. Czy zechce pani łaskawie wejść?

— Cóż to, — mówię, — Małgosia chce się przeprowadzić? Nic mi o tym nie mówiła!

— Decyzja przyszła nagle, — rzekł mężczyzna, — chce ona otworzyć pensjonat.

A więc znów jeden z szalonych pomysłów poczciwej, ale głupiej Małgosi. Posłaniec otworzył drzwi kluczem i zaprosił mnie do wejścia. Przeszliśmy przez korytarz, potem on pchnął jakieś drzwi, mówiąc:

— Ona musi tu być.

Poczem zaczął wołać:

— Miss Pfefferkorn, ta pani przysłała!

Nie było odpowiedzi. W tej chwili dostałam tak silne uderzenie w plecy, że zrobiłam kilka kroków naprzód i upadłam na kolana. Usłyszałam, że ktoś zamykał za mną drzwi na klucz.

Zaczełam krzyczeć, jak mogłam najgłośniej. Nic to nie pomogło, dostałam tylko chryпки. Zaczełam badać to moje więzienie i wyciągać wnioski, tak, jak pan to robi. Był to mały pokój, ciemny, bez

CUDA I TAJEMNICE CZARNEJ I BIAŁEJ MAGJI

każdy, kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magji, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Lustro magiczne, latający zegar. Tańczące jabłko. List w jajku. Jajo w butelce. Śpiewająca fiaszka. Sztuki z rachunkami, z kartami, z zakresu akustyki, optyki, pirotechniki. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie które płaci się przy odbiorze. Adresni: Kazimierz Kofodziejczyk, Warszawa I Pl. Napoleona skr. poczt 802 H. 1).



NIE ZWLEKAJ

SZYBKO ZAMAWIAJ

UWAGA: Bezpлатnie dodajemy najnowszą wszechświatową książkę p. t. „Sztuka wrózenia z kart i rak” według słynnej wróżki Napoleona I. P. Lenormand.

okna. W końcu, po usilnych poszukiwaniach znalazłam w kącie jakiś kawałek żelaza, przy pomocy którego udało mi się otworzyć drzwi. Trwało to chyba całe godziny! Znalazłam okno, wychodzące na ulicę i przy pomocy jakiegoś przechodnia wyostałam się.

— Tomie, — powiedział detektyw, — zadaj teraz Mrs Crown swoje pytanie!

Młodzieniec posłuchał i poczciwa kobieta zdziwiła się jeszcze bardziej:

— Ja... ja miałam wrócić do tego gaduły Hulla, świeć panie nad jego duszą. To jest podle kłamstwo, mające na celu zepsucie mojej opinii!

— Niech pani się tym nie trapi, Mrs. Crown, — rzekł poważnie mistrz — zręczny bandyta przybrał poprostu pani wygląd, aby przybyć na pani miejsce do nieszczęsnego Hulla, który wpuścił go nic nie podejrzewając i zginął od jego ciosu. Postąpił w ten sam sposób, zastępując panią tu w kuchni i usiłował nas otruć. O mało co byłoby mu się to udało...

— Jakież różne typy jednego dnia: Mrs. Crown, Wiggs i posłaniec... ale wiemy, że jest on wysoki i niski, a to już coś znaczy.

— Nie wybaczę mu nigdy, że przez niego musieliście jeść zimna kolację. — zakończyła Mrs. Crown.

Telefon zadzwonił przeciągle.

Mademoiselle Lusseau działo

Był to głos M-lle Lusseau.

— Dobry wieczór, drogi, wielki Dicksonie! — rzekła ironicznie. — Co powiedziałby pan, gdybym panu zaproponowała spotkanie dziś wieczorem?

— Uszczęśliwi mnie pani, Mademoiselle. — odparł uprzejmie detektyw.

— Czy wie pan, skąd dzwonię? Z Belsize Parku, z kabaretu „Czarna róża“.

Harry Dickson gwizdnął z cicha. Kabaret ten nie cieszył się zbyt dobrą opinią.

— Zajmuję specjalny gabinet Nr. 6, tak zwany „zielony salon“, — ciągnęła panna Lusseau. — Pozwalam panu na niedyskrecję, ale dopiero po północy. Znaczący to, że chciałabym, aby pan o tej godzinie znajdował się gdzieś w pobliżu.

Głos młodej kobiety stał się poważny.

— Niebezpieczeństwo, Mr. Dickson, czyhać będzie nie tylko na mnie, ale i na pana o tej godzinie. Do zobaczenia!

— Czy będę panu towarzyszył? — zapytał Tom, gdy mistrz opowiedział mu pokrótce przebieg rozmowy.

Harry Dickson potrząsnął głową.

— Będiesz bardziej użyteczny tu, na miejscu, mój chłopcze. Nie chciałbym zostawiać domu pod opieką samej Mrs. Crown.

Około dziesiątej detektyw opuścił swe mieszkanie i podążył w stronę Oxfordstreet, gdzie miał nadzieję dostać taksówkę. Choć ulice przepelnione były ludźmi, detektyw, nauczony doświadczeniem, rozglądał się pilnie dokoła. Przybył bez przeszkód do stacji samochodowej i skinął na taksówkę; gdy otwierał drzwiczki, nagle zadzwonił telefon w budynku stacyjnym. Szofer przeprosił i podniósł słuchawkę. Zdziwiony spojrzał na swego klienta.

— Proszę do telefonu pana, — który właśnie wsiada do auta, — rzekł, przyzywając detektywa.

Zaciekawiony, detektyw ujął słuchawkę.

— To pan, Dickson? — zapytał głos daleki i zduszony.

— Tak, kim pan jest i czego pan chce?

— Proszę się strzec, Dickson...

Bum! Aparat umilkł, połączenie zostało przerwane.

Nie mogło być wątpliwości, ktoś musiał zauważyć, że detektyw nadchodzi i zbliża się do auta, i wpadł chyba do pierwszej napotkanej kawiarni, aby zadzwonić. Ale było tu bardzo dużo lokali, gdzie tłumy ludzi falowały, popychając się wzajemnie. Jednak głos wydał się Dicksonowi znajomy.

— Mam! — szepnął nagle, — to był głos Mendozzy.

Ale zaraz przyszła mu do głowy inna myśl: połączenie zostało przerwane bardzo szybko, mogła to być interwencja przeciwników.

Detektyw kazał szoferowi czekać i zaczął obserwować okoliczne kawiarnie. Jedna z nich zwróciła szczególnie jego uwagę: mieściła się w narożnym domu, miała duże oszklone okna i przedstawiała świetny punkt obserwacyjny. Detektyw zapamiętał jej nazwę: Tawerna Henley'a. Bez wahania wszedł, wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę i skierował się od razu do kabiny telefonicznej. Znalazł to, czego oczekiwał: nie można było uzyskać połączenia. Przywołał najbliższego stojącego chłopca i zapytał, czy ktoś korzystał z telefonu przed chwilą.

— Tak, Sir, — odpowiedział kelner, — jakiś elegancki pan w wieczorowym ubraniu.

— W jakim wieku mniej więcej?

— Sądzę, że miał około czterdziestki, lub więcej.

— Czy wyszedł?

— Tak, przed chwilą wyszedł specjalnym wyjściem przez hotel.

Harry Dickson stłumił przekleństwo, cisnące mu się na usta i zaczął badać sznur, który wychodził z kabiny i biegł przez salę po suficie. Byстрым wzrokiem dojrzał zaraz, że przecięto sznur blisko ściany kabiny.

— Proszę mi powiedzieć, — zwrócił się jeszcze do kelnera, — kto siedział teraz w tym miejscu?

— Czy pan jest z policji? — spytał kelner nieufnie.

— Tak, i proszę mi szybko odpowiedzieć.

— Dobrze, Sir; był tu przed chwilą jeden pan, niski i dość tegi. Zapłacił rachunek z góry. Musiało mu się bardzo spieszyć, ale nie widziałem, jak wychodził.

— Do licha! — zaklął cicho detektyw, dając suły napiwek kelnerowi.

— Wiggs! — mruzczał do siebie, opuszczając tawernę. — Wiggs, albo Bóg wie, jakie jest jego prawdziwe nazwisko. Mendozza zrobiłby lepiej, gdyby przyłączył się do mnie w tej wyprawie. Ale czyż mogę mu czynić zarzuty, że chce zebrać wszystkie laury dla siebie?

Nie miał czasu do stracenia i, wsiadłszy wreszcie do taksówki, kazał jechać do Belsize Parku.

Wkrótce oświetlone ulice śródmieścia ustąpiły miejsca cichym i ciemnym uliczkom, tak wąskim, że auto przejeżdżało tędy z trudem.

Brakowało zaledwie pół godziny do północy, gdy przybyli do Belsize i detektyw ujrzał przyziemione światła „Czarnej Róży“. Odprawił szoferę i zbliżał się zwolna do tawerny, oglądając po drodze dokładnie teren. Budynek, otoczony ogrodem, pogrążony był w ciemnościach. Jedynie w rogu ujrzał detektyw na piętrze jedno oświetlone okno.

— Czyżby to był właśnie gabinet Nr. 6, czyli „zielony salon?“ — zastanawiał się.

Jakgdyby w odpowiedzi na to, okno uchyliło się: wysunęło się obnażone ramię kobiece i coś upadło na ziemię; była to zwinięta kartka papieru, na której nerwowa ręka napisała parę słów: „H. D. — Nie wchodzić, aż usłyszysz dźwięk tłuczonego szkła. G. L.“

— Doskonale, szepnął detektyw, — to zaoszczędza mi dużo czasu, który straciłbym na zorientowanie się w rozkładzie domu.

Podśluchiwał przez okiennice, ale nie słyszał wewnątrz żadnego hałasu: musiało być bardzo mało ludzi w „Czarnej Róży“...

— A jednak wolałbym wejść do wnętrza, oczywiście w ściślej tajemnicy, — mówił do siebie detektyw. Spojrzał na zegarek: zaledwie kwadrans dzielił go jeszcze od północy; należało działać możliwie jak najszybciej. Drzwi były otwarte, a raczej uchylone. Detektyw pchnął je. Znalazł się w mrocznym hallu, oświetlonym jedną lampką i postąpił kilka kroków naprzód. Z podziemia dochodził odgłos przewracanych garnków i talerzy, potem jakiś zaspary głos powiedział:

— My także chcielibyśmy już iść spać, a tymczasem trzeba być jeszcze na nogach i to w dodatku dla dwóch nędznych klientów, którzy są już zresztą przy deserze i nic więcej nie zamówia!

— Uspokój się, Wiktorio, — odpowiedział inny głos, — albo możesz sobie odejść jeszcze dzisiaj!

Ale Harry Dickson wiedział już dosyć. Spostrzegł w głębi hallu schody, pokryte chodnikiem i wbiegł na nie szybko. Na piętrze było przestronnie i także prawie zupełnie ciemno, ale widać było wąski pas światła pod drzwiami w rogu i Dickson ujrzał cyfrę 6 wymalowaną nad nimi.

Zaiałał ręce:

— A więc przyszedłem o kilka minut za wcześnie.

Nadśluchiwał uważnie, ale drzwi były grube i z pewnością obite materacem, dochodziły więc do niego jedynie stłumione odgłosy. Wiem wybiła północ na ściennej zegarze. Za drzwiami rozległ się śmiech kobiecy.

— To nie jest jeszcze sygnał, — rzekł do siebie Dickson.

Kilka chwil upłynęło w ciszy: jednak w pokoju wymieniano teraz słowa gwałtowniejsze, o-

strzejsze, lecz wciąż niedosłyszalne dla detektywa. Nagle rozległ się oczekiwany dźwięk.

Brzęk tłuczonego szkła, potem hałas przewróconego mebla.

Harry Dickson dopadł do drzwi i znalazł się w pokoju. Przed jego oczami wśród głębokiej ciszy rozgrywała się okrutna scena.

Miss Lusseau, w złocistej wieczorowej sukni walczyła z wysokim mężczyzną także w wieczorowym ubraniu, który trzymał ją za gardło uściskiem swoich mocnych dłoni. Młoda kobieta przewracała się, twarz jej siniała, a ręce konwulsyjnie drapały twarz napastnika. Miała zapewne rewolwer przy sobie, ale broń została jej wydarta i rzucona na dywan.

— Na pomoc! — wykrztusiła.

— Ręce do góry! — krzyknął Harry Dickson.

Mężczyzna drgnął i zwolnił nieco uścisk. Ten ruch stał się dla niego fatalnym: Mlle Lusseau rzuciła się w tył, podniosła rewolwer i, zanim detektyw mógł jej przeszkodzić rozległy się dwa strzały. Napastnik runął na podłogę.

— Panno Lusseau! — zawołał Harry Dickson. — Co się tu stało?

Młoda kobieta z trudnością chwytając oddech i drżącą dłonią wskazywała leżącego mężczyznę.

— Czy wie pan, kto to jest? — spytała w końcu głosem jeszcze zduszonym, ale pomimo to triumfującym.

Harry Dickson pochylił się nad leżącym. Nie żył on już, dwie kule Gilberty Lusseau trafiły go w samo serce. Zobaczył twarz młodą i energiczną, z małym czarnym wąsikiem.

— Nie znam go, — mruknął.

— Niech pan podniesie jego lewy rękaw do łokcia, — rzekła młoda kobieta.

Harry Dickson posłuchał. Na brązowej skórze przedramienia ukazały się dwie faliste linie.

— Wodnik! — zawołała Mlle Lusseau z akcentem dzikiej radości w głosie.

— Wodnik! — szepnął detektyw przerażony, i nagle poznał te duże, czarne oczy, w których teraz widać już było piętno śmierci.

Nadludzkiem wysiłkiem woli opanował wzruszenie i zaczął pilnie oglądać błękitne, wytatuowane linie na ramieniu zmarłego. Nie mówiąc ani słowa wziął karafkę z wodą i, zwilżywszy martwe ciało, zaczął rzeź mocno. Znaki jednak nie zniknęły.

— Ach, pan sądzi, że to jest tylko namalowane? Myli się pan, przyjacielu, — zawołała Gilberta Lusseau.

— Chwilczkę! — rzekł detektyw.

Wyciągnął z kieszeni płaskie pudełko i wyjął stamtąd małe flakonik, napełniony bezbarwnym płynem. Miss Lusseau patrzyła na niego ze zdziwieniem na swej pięknej twarzy. Raz jeszcze detektyw uczynił doświadczenie i tym razem odniosło ono rezultat: błękitne linie zniknęły bez śladu.

— A to oznacza... — szepnęła Gilberta Lusseau, przecierając dłonią czoło.

— To oznacza straszną pomyłkę, Miss, — rzekł posępnie detektyw. — Człowiek, który tu leży przed nami to Luigi Mendozza, z policji hiszpańskiej, również śledzący tajemniczą bandę Zodiaku!

— Nie...możliwe! — jęknęła młoda kobieta, blednąc.

— Niech pani opowiada! rozkazał krótko Harry Dickson.

— Śledziłam go od mego przybycia do Londynu. Zajmował dziwne mieszkanie przy Drury Lane. Ukrył u siebie zwłoki człowieka zabitego na ulicy. Widziałam go gdy włóczył się po Barlowstreet, a potem koło domu nieszczęsnego Thornycrofta. Widziałam, jak narysował znak Wodnika i starałam go zaraz po jego odejściu, gdyż... nie powinienam panu tego powiedzieć, ale... chciałam całą sławę schwytania go zatrzymać dla siebie. W godzinę później dostrzegłam go w jednej z kawiarni. Usiadałam przy sąsiednim stoliku. Szybko nawiązaliśmy rozmowę. Myślałam, że on od razu przejrzał moje plany, ale tym nie mniej zgodziłam się spotkać go tutaj wieczorem.

Wezwałam jednak pana, gdyż wątpiłam, czy uda mi się schwycić go bez niczyjej pomocy. W pewnym momencie, jakgdyby przez nieostrożność poruszyłam stołem. Możliwe, że on coś przeczuwał, gdyż nagle twarz jego stała się groźna i rzucił się ku mnie:

— Dickson jest tutaj! — krzyknął. — A więc ty zginiesz i o'n po tobie!

Ale wtedy na szczęście udało mi się przewrócić stół.

— Dlaczego pani go zabiła? — spytał Dickson z wyrzutem.

Miss Lusseau rzuciła mu nieokreślone spojrzenie.

— Bo byłam pewna, że on zrobi panu coś złego, — szepnęła, — oh, Dickson, czy pan nigdy nie zrozumie kobiety?

Detektyw unikał jej spojrzenia:

— Jest pani dziwnym detektywem, Miss Lusseau, — rzekł w końcu, — raporty przysłane nam przez Rząd francuski wyśpiewują na cześć pani hymny pochwalne.

Czy nie przewidziała pani, że Mendozza może należeć do naszego obozu?

Podniosła głowę, oczy zaświeciły jej ponurym blaskiem:

— Nie wiedziałam, że to był Mendozza, — rzekła twardo, — ale jeśli życzy pan sobie mego towarzystwa dzisiejszej nocy, proszę zatelefonować do Yardu w Madrycie. Nie pierwszy raz słyszę to nazwisko.

Zeszli na dół i Harry Dickson zwrócił się do właściciela lokalu, którego zwabiły dziwne odgłosy:

— Proszę zatelefonować do najbliższego posterunku policji aby mi przysłano inspektora. Ale prędko, bo, daję ci słowo Harry Dicksona, że pożałujesz tego, jeśli nie posłuchasz!

— Harry Dickson! — zawołał mężczyzna przerażony.

— Ma on twoją budę na oku, zapewniam cię mój drogi!

Po chwili przybyło trzech inspektorów zamiast jednego i detektyw zostawił ich na straży w tragicznym pokoju.

W godzinę później przybył do Yardu w towarzystwie Mlle Lusseau. Przez całą drogę, siedząc w aucie, nie przemówili do siebie ani słowa, ale detektyw czuł ze wzruszeniem, że młoda kobieta kłała cicho u jego boku.

Około czwartej nad ranem uzyskali wreszcie połączenie z Madrytem, a wiadomości otrzymane stamtąd zaniepokoiły Dicksona.

— Mendozza już od sześciu miesięcy nie pracuje w policji hiszpańskiej. Złożył nagle swoją dymisję i znikł. Istnieje przypuszczenie, że chciał zacząć działać na własną rękę.

— Albo dla „Dzielných Synów Zodiaku“! — do dała ironicznie Mlle Lusseau.

— Powiniennem panią przeprosić, — rzekł cicho detektyw, gdy auto zatrzymało się przed domem na Tudorstreet.

W małym salonie było ciepło i przytulnie. Gilberta Lusseau zapaliła świece w siedmioramien-nych kandelabrach.

— Napijmy się szampana! — rzekła.

Wino zapieniło się w kryształowych kieliszkach Gilberta podniosła rękę:

— Chcę wypić za pomyślność pewnego planu, — powiedziała.

— Zapewne myśli pani o jaknajszybszym schwytaniu bandy Zodiaku? — spytał Harry Dickson, z uśmiechem, podnosząc także swój kieliszek.

Potrząsnęła żywo swą piękną, ciemną głową.

— Nie mówmy teraz o tych sprawach — rzekła poważnie. — Od chwili, gdy zaczęłam pracować w policji mego kraju, znam pana, Harry Dicksonie: żyłam tylko nadzieją, że ujrzę pana kiedyś i będę pracowała u boku pana. I ten dzień nadszedł.

Detektyw skłonił się.

— Pochlebia mi pani ogromnie, — rzekł.

— Nie o to chodzi, — odparła, — to, co chcę panu powiedzieć jest dużo ważniejsze. Przelamie więc obyczaję zarówno pana ojczyzny, jak i mojej.

Przerwała na chwilę, oddychając z trudem. Kieliszek zadrżał w jej pięknej białej dłoni.

— Kocham pana, Dickson.. Nie jestem biedna, mam trochę pieniędzy, zresztą to nieważne.. Czy zechcesz mnie poślubić?

Przedziwna przygoda miłosna Harry Dicksona

Grom z jasnego nieba... nie mówi się już o „Dzielných Synach Zodiaku“. W kołach policyjnych mówi się wyłącznie o jednym, niesłychanie sensacyjnym wydarzeniu: Harry Dickson zaręczył się z Gilbertą Lusseau!

Goodfield kręci głową: ach te kobiety! Nawet wielki Harry Dickson wpadł w sidła! Tom Wills smuci się przykro mu będzie, gdy kobieta zamieszka w ich domu na Bakerstreet. Najbardziej jednak rozpacza Mrs. Crown.

Nawet zagadkowi Synowie Zodiaku jakgdyby uspokoili się wobec tej wielkiej nowiny. Harry Dickson może swobodnie chodzić po ulicach rano i wieczorem, nie będąc przez nikogo napastowanym.

Mr. Wiggs znikł, ulotnił się, jak dym.

Harry Dickson odprawiał natrętów, żadnych wyjaśnień, prostymi słowami:

— No, tak, zaręczył się z Mlle Lusseau i dziękuje z całego serca za życzenia.

Kilka dni minęło spokojnie. Harry Dickson widywał codziennie narzeczoną i znalazł nawet uznanie w oczach surowej ciotki Marty.

— Wprawdzie nie było to moim marzeniem, aby poślubiła policjanta, lub detektywa, — mówiła ciotka, — ale przynajmniej będzie jej pan pilnował i to też coś wartego!

Ósmego dnia po zaręczynach Mlle Lusseau otrzymała od swych zwierzchników rozkaz powrotu do Paryża na kilka dni.

— Jednak pracuję jeszcze w swoim zawodzie, Harry — rzekła narzeczonemu, — i nie mogę przecież lekceważyć obowiązków. Myślę, że przyznasz mi rację. Zostawiam pod twoją opieką ciotkę Martę, — dodała przebiegle, — ni. możesz jej lekceważyć ona tak słabo zna angielski język!

Tegoż dnia odjechała do Douwru i wieczorem Harry Dickson otrzymał list treści następującej.

Drogi panie!

Ja także pragnę spotkać się z panem w „Czarnej Róży“. Chcę panu zaproponować pewien interes. Przedtem jednak proszę porozumieć się z Paryżem, a dowie się pan, że Mlle Lusseau nie była wzywana. Czyż trzeba dodawać, że znajduje się ona w moich rękach? Niech pan nie zawiadamia Yardu i nie knuje nic przeciwko mnie, życie pańskiej uroczej Gilberty byłoby wtedy naprawdę w niebezpieczeństwie, chyba pan to rozumie. Ale mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia. A więc dziś o północy: sławetny „zielony salon“ Nr. 6 będzie dla nas zarezerwowany.

Ten kogo pan nazywa Wiggsem, ale który w rzeczywistości nosi inne nazwisko.

Harry Dickson przez długą chwilę siedział w zadumie poczem wyjął fajkę i palił ją tak długo, że nadeszła godzina spotkania.

W Belsize Parku właściciel „Czarnej Róży“ przywitał go z tajemniczą miną.

— Jestem szczęśliwy, mogąc gościć pana, Mr. Dickson, — rzekł — i mam nadzieję, że przyzna pan iż wywiązuję się z mych zadań doskonale. Nie przyjąłem żadnych innych klientów na dzisiejszy wieczór, dla pana wygody.

— Oczywiście z polecenia tego pana, który tu na mnie czeka! — rzekł ironicznie Harry Dickson.

— Pana? — spytał gospodarz, zdumiony. — Ja nie wiem nic, Mr. Dickson, pan przecież sam telefonował do mnie, abym zarezerwował zielony salon, i zostawił otwarte drzwi od ogrodu, a żeby pańska... pański towarzysz mógł wejść, nie będąc widzianym. Jesteśmy dyskretni, proszę pana.

— Ach, prawda! Więc ja telefonowałem? Rzeczywiście, zupełnie zapomniałem o tym! Ale to nie ważne. Czy zamówiłem także kolację?

— Ze znajomością rzeczy, — odparł właściciel lokalu, mrugnawszy okiem, — kawior, kuropatwa na zimno, szampan.

— Bardzo francuska kolacja! — zauważył detektyw.

— Właśnie to sobie pomyślałem, — odpowiedział przebiegle restaurator — będzie pan napewno zadowolony, Mr. Dickson!

Zielony salon nie przypominał wcale dramatu, jaki się w nim rozegrał. Meble stały na swoich zwykłych miejscach, plamy krwi znikły z perskiego dywanu. Stół zastawiony był szkłem i porcelaną, elektryczne świeczniki rzucały łagodne światło na pokój.

Harry Dickson usiadł na fotelu, miał przed sobą jeszcze kwadrans oczekiwania. Ażeby wypełnić sobie czas wyjął z kieszeni notatnik i odczytał kilka uwag na jednej ze stron; była to notatka, którą otrzymał tegoż dnia z kontynentu:

„Arystydes Soleil, naukowiec i uczonec, o dziwnych pomysłach. Spadkobierca wielkiego majątku. Znikł nagle. Ani śladu jego pieniędzy, w żadnym banku. Nie znamy zupełnie istoty, jego prac.“

Harry Dickson uśmiechnął się, poczem znów popadł w zadumę.

— I Soleil został wyrzucony z pokoju na Baro wstreet, gdyż nie płacił komornego! — mruknął. — W każdym razie będzie lepiej, jeżeli ta kartka nie będzie przy mnie znaleziona.

Odczytał raz jeszcze, poczem podarł ją w drobne kawałeczki i wrzucił do ognia.

Głuche uderzenie rozbrzmiało w hallu: pierwsze uderzenie północy. Detektyw naliczył ich dwanaście, gdy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Nie był to jednak Mr. Wiggs, lecz restaurator, toczący przed sobą stolik na kółkach, na którym podana była cała kolacja.

— W ten sposób nie będę państwu przeszkadzał potem, — rzekł. — Ale, a propos Mr. Dickson, muszę pana przeprosić, ale zegar w hallu spiesz się o pięć minut!

— Rozumiem, — odparł Harry Dickson, — Mr. Wiggs znalazł w panu doskonałego pomocnika!

Gospodarz skłonił się w milczeniu.

Upłynęło pięć minut; ktoś znów zapukał do drzwi. Tym razem był to Mr. Wiggs, który wszedł z najbardziej naturalną miną na świecie.

— Dobry wieczór, Mr. Dickson, — rzekł, zacierając zziębnięte dłonie, — zimno jest dziś wieczorem, termometr gwałtownie spadł do zera. A jednak musimy jeść zimne dania!... Ale zdaje mi się, że to już się panu zdarzyło!

— Oczywiście, — odparł wesoło detektyw, — ale z przyjemnością skonstatowałem, że wykreślił pan z jadłospisu leguminy z roszkarami i migdałami.

— Ach, — powiedział Mr. Wiggs z zakłopotaniem, — bardzo mi przykro, że nie znałem pańskiego gustu. Teraz postarałem się naprawić mój błąd. Może usiedlibyśmy do stołu?

— Dlaczegożby nie? — odpowiedział pogodnie detektyw.

Kolacja była nadzwyczaj miła. Mr. Wiggs umiał w nader zajmujący sposób prowadzić rozmowę, był przytem bardzo dowcipny. Harry Dickson dostosował się do niego i siedzieli we dwójkę, jak najlepsi przyjaciele, a nie jak nieprzejednani wrogowie przed ostateczną rozgrywką.

W końcu detektyw odmówił wypicia jeszcze jednego kieliszka szampana.

— Porozmawiamy? — spytał Mr. Wiggs.

Harry Dickson przytaknął skinieniem głowy.

— A więc przejdźmy od razu do rzeczy, — zaczął Mr. Wiggs. — Narzeczona pana znajduje się w mojej mocy. Oddam ją panu jeśli wyświadczy mi pan pewną przysługę a mianowicie: powie mi pan, gdzie znajduje się Soleil.

— Gdzie znajduje się Soleil, — powtórzył wolno detektyw. — Czy jest pan pewny, że ja to wiem?

Mr. Wiggs skinął głową.

— Pan to wie Mr. Dickson; od wielu już dni nie zajmuje się pan poszukiwaniem. A jeżeli Dickson nie szuka, to znaczy że już znalazł. Tak ja rozumuję. Czy nie mam racji?

Harry Dickson rzucił na niego długie, przenikliwe spojrzenie.

— Tak, — powiedział spokojnie — wiem rzeczywiście, gdzie on się znajduje.

— Doskonale, możemy więc zakończyć tę sprawę. Czy chce pan wzamian za tę tajemnicę otrzymać swą uroczą narzeczoną?

— Niczego bardziej nie pragnę!

Twarz Mr. Wiggsa rozpromieniła się:

— Pańskie słowo, Dickson! — rzekł nieco wzruszonym głosem.

— Dałem je panu!

Błysk triumfu zapalił się w oczach Mr. Wiggsa. Podeszedł do drzwi i kilkakrotnie przycisnął dzwonek.

— Panna Gilberta jest więc tutaj? — spytał detektyw z uśmiechem.

— Zgadł pan! Zresztą gdzie mogłoby być jej lepiej?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i zjawiała się Gilberta Lusseau. Biała suknia, jaką nosiła, podkreślała jeszcze biadość jej zmęczonej i niespokojnej twarzy.

bardzo szczęśliwy, mogąc połączyć węzłem małżeńskim Harry Dicksona i tę uroczą dziewczynę.

Gilberta Lusseau zachwiała się; Harry Dickson nie odezwał się ani słowem i patrzył na triumfującą twarz Mr. Wiggsa.

— Przypuszczam, że to wszystko przewidziane jest w programie wieczoru — zapytał.

— Zupełnie słusznie drogi przyjacielu, — zawołał Mr. Wiggs, — pomyśl, jaki ja jestem wspaniałomyślny! Prosiłem mnie tylko o narzeczoną, a ja ci daję żonę! Co powiesz na to?

— Odpowiem panu uprzejmością na uprzejmość, Mr. Wiggs, pytał mnie pan, gdzie znajduje się Soleil. Dobrze więc, zamiast powiedzieć panu, zaprowadzę pana do niego. A co pan na to powie?

Mr. Wiggs spozjrzał na niego badawczo, lecz już po chwili twarz jego rozjaśniła się i zatarł powoli ręce.

— No, więc bardzo dobrze... Stilkinsie spełń swoją powinność!

Detektyw widział, że Gilberta miała minę zaszczutego zwierzęcia, pobladła jeszcze silniej, ale nie powiedziała ani słowa, jedynie spozjrzała na swego narzeczonego z dziwnym wyrazem

Niezwykłej treści najcenniejsze i najciekawsze książki za bezcen!!!



- „TANIA KUCHNIA” — praktyczne rady i wskazówki, jak tanio i smacznie gotować zł. 1.—
- „SOKI, KONFITURY I NAPOJE CHŁODZACE” — Maria Hartmanowa, najlepsze i najsmaczniejsze przygotowanie marmolad, konfitur, soków itd. zł. 1.25
- „WINA, OCTY, MIODY, PIWA I LIKIERY” — Inż. Maricki, jak wyrabiać domowym sposobem z ilustracjami i objaśnieniami. zł. 1.25
- „NASZ WETERYNARZ” — DR. H. SZMIDT. Uczy hodowli, rozpoznania, zapobiegania, leczenie wszelkich chorób: koni, owiec, świń, kóz, psów, kotów i wszelkiego drobiu. 100 rycin zł. 1.75
- JAK ZOSTAĆ ATLETA. Samouczek z ilustr. zł. 1.25
- „IDEALNY ŚRODEK ZAPOBIEGANIA CIĄŻY”. Dr. W. Ostrowski, metoda, która dokonała przewrotu zł. 1.75
- „SŁOWNIK WYRAZÓW OBCYCH” zł. 1.—
- „GRA W SZACHY” — popularny wykład. zł. 1.—
- „FABRYKANT DOMOWY” — Inż. Józef Lewinson. Cenna książka dla wszystkich. Droga do niezależnej egzystencji. Przepisy, rady i wskazówki, którymi posługiwać się może każdy, bez nakładu kosztów i czasu. Przy pomocy tej książki dojść można do bogactwa. zł. 2.—
- „SENNIK EGIPSKI”. Tłumaczenie snów i zjaw. zł. 1.—
- „SPOWIEDŹ” — Szyllera-Szkolnika. Psychologiczne studium nad duszą człowieka. Szereg ciekawych obserwacji i wniosków. Jak zachowywać się w życiu, kiedy uniknąć zmartwień i chorób. Książka ta — to droga do szczęścia. zł. 2.—

UWAGA: Zamówienia wykonują się od zł. 4.— wzwyż. Do zamówienia ponad zł. 5.— dodajemy niezwykle cenne premieniespodzianki. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, WARSZAWA, Pl. Napoleona, skryt. pocz. 802 H. D.

— Cóż za piękna suknia ślubna! — rzekł Mr. Wiggs. — To mój osobisty ślubny podarunek, — dodał, śmiejąc się.

Gilberta spozjrzała przeciągle na detektywa i ten wyczytał dziwną rozpacz w jej oczach.

— Ponieważ za chwilę ujrzymy tu mężatkę, dopóki jeszcze nie jest zapóźno — zawołał Mr. Wiggs.

Na progu ukazał się restaurator. Ubrany był w czarny surdut, pod pachą trzymał biblię. Ukłonił się nisko Dicksonowi.

— Zapomniałem panu powiedzieć, Mr. Dickson, — rzekł, — w młodości otrzymałem święcenia. Nazywam się Stilkins.

— Doprawdy? — rzekł Harry Dickson. — Zdaje mi się, że sobie przypominam jakąś historię o fałszywych aktach.

— To w każdym razie stara historia, Mr. Dickson — odparł, śmiejąc się, restaurator, — grzechy młodości... Bóg mi je chyba wybaczy. Dziś jestem

twarzy. Podała mu rękę, tak zimną, jak ręka zmarłej. Dickson zadrżał.

Stilkins wypowiedział zwykłe formułki, poczem połączył dłonie Gilberty i Dicksona ponad biblią.

— Gilberto Lusseau, czy chcesz pojąć tego oto Harry Dicksona za męża?

— Harry Dicksonie, czy chcesz pojąć tę oto Gilbertę Lusseau za żonę?

— Zaślubieni! — ucieszył się Mr. Wiggs. — Padły dwa sakramentalne „tak“.

I ja jestem pierwszy, kto składa panu życzenia, Mr. Dickson.

Stilkins także złożył im gratulacje, poczem wyciągnął papier z kieszeni i podał go detektywowi.

— Przepraszam byłbym zapomniiał, oto wasze świadectwo ślubu — rzekł.

— Wszystko więc zostało przewidziane, wimszuję wam! — odparł detektyw

— A teraz, — zawołał Mr. Wiggs, — kolej na Mr. Dicksona, aby zaprowadził nas do tego przemilego, starego Soleila. Auto czeka i Mr. Stilkins nas zawiezie. Ja usiądę na krzeselku przy nim, gdyż nie chcę zakłócać pierwszego sam-nasam tej pary!

Gilberta Lusseau wsiadła do auta i Harry Dickson zajął miejsce obok niej. Samochód ruszył.

— Dokąd, Mr. Dickson? — zapytał Mr. Wiggs.
— Barlowstreet.

— Co... jak?... Czy pan to mówi poważnie? — zapytał Mr. Wiggs groźnie.

— Zupełnie poważnie, powiedziałem: Barlowstreet.

— A więc dobrze! Jedź szybko, Stilkins! Mijali ciemne ulice we mgle.

Gilberta Lusseau siedziała bez drgnięcia z boku swego męża i nagle szepnęła zduszonym głosem:

— Wolalabym umrzeć!

Wodnik i Strzelec

— Przed domem Hulla? — spytał nagle Mr. Wiggs.

— Tak, — odrzekł krótko detektyw.

— Niech i tak będzie, ale uprzedzam cię, Dickson, że jeżeli oszukasz mnie, pożałujesz tego!

— Zapewniam cię, że dotrzymam słowa i zaprowadzę was do Arystydesa Soleila.

— O, znasz nawet jego imię, — rzekł żywo Wiggs, odwracając się i patrząc na detektywa w szczególny sposób.

— Wiem to i jeszcze inne rzeczy, — brzmiała odpowiedź.

— Doskonale, Dickson zresztą nie spodziewałem się mniej po panu.

Auto zatrzymało się i wszyscy wysiedli. Sklep był opuszczony, drzwi i okiennice pozamykane.

— Od wewnętrznej strony niema rygli, — oświadczył Dickson, — sądzę, że pan umie dobrze otwierać te drzwi, Mr. Wiggs?

— Oczywiście, Dickson, jestem w tej dziedzinie specjalistą!

I Mr. Wiggs nie kłamał, mówiąc to, gdyż w mgnieniu oka wsunął wytrych w zamek i drzwi ustąpiły.

W tragicznym domu uderzył ich zapach wazy, zmieszany już z przykrą wonią pleśni. Harry Dickson czuł, że Gilberta drżała u jego boku.

Mr. Wiggs wyjął lampkę kieszonkową i rzucając na nich promień światła rzekł ironicznie:

— Nie wyglądasz na zbyt zakochanego, Dickson! Dodajże otuchy żonie, która też jakoś nieszczególnie wygląda!

— Dostyc, — rzekła nagle M-lle Lusseau, — skończcie z tym szybko, zdaje mi się, że to już za długo trwa.

Harry Dickson rzucił jej spojrzenie z ukosa, powstrzymał uśmiech, ale nie wyrzekł ani słowa.

— Dokąd idziemy, Dickson? — spytał Mr. Wiggs ochrypniętym z emocji głosem.

— Do piwnicy!

— Mr. Wiggs drgnął i Gilberta wydała nagle głuchy jęk.

— Nie chce pan chyba powiedzieć... — jąkał mały, tęgi człowieczek, schodząc spiesznie po schodach.

— Dickson, — rzekł nagle wzruszonym głosem, — czy pan widział?

Detektyw wzruszył ramionami.

— Ja nie muszę widzieć, aby wiedzieć, panie Wiggs, i może to mnie właśnie odróżnia od „Dzielných Synów Zodiaku“.

— Niech pan zostawi te aluzje i wstępy, — krzyknął grubiańsko Wiggs, — i proszę prędko powiedzieć gdzie?

Harry Dickson utkwiał wzrok w ścianie wyłożonej kaflami.

— To jest świeża robota, — rzekł, — oderwijcie to, tam w kącie leżą potrzebne narzędzia.

Ani Wiggs, ani Stilkins nie odpowiedzeli lecz, chwyciwszy motyki, zaczęli gorączkowo odbijać kafle. Gilberta Lusseau, jak nieprzytomna stała u boku swego męża, zdając się go nie widzieć!

Gdy wszystkie kafle odpadły, oczom ich ukazała się jakgdyby nisza, z której wydobywał się silny odór. Mr. Wiggs podniósł lampkę i nagle krzyknął przeraźliwie.

W kącie leżały skurczone zwłoki ludzkie obok stosu miedzianych krążków zżartych rdzą.

Harry Dickson wysunął się naprzód skrzyżował ręce na piersiach i przybrał postawę sędziego-zwycięzcy.

— Oto wszystko co zostało z Arystydesa Soleila i jego dzieła! — rzekł.

— Kłamstwo! — ryknął Wiggs z wściekłością.

— Mylisz się, nieszczęsny — ciągnął Harry Dickson, — stary Soleil nigdy nie wytwarzał złota! Nigdy! Nie... nie przerywajcie mi. Gdy wpadł w wasze ręce... ale pozwólcie, że wam opowiem waszą własną historię.

Arystydes Soleil wierzył w przemianę metali i nawet poczynił pewne ciekawe doświadczenia; wreszcie pewnego dnia wydało mu się, że odkrył całą tajemnicę. I zamarzył o straszliwej potędze! Wytwarzać złoto ze starego żelaza! Ależ to oznaczało zachwianie fundamentami świata, tego świata, opartego na wartości złota! W otoczeniu swym znalazł kogoś, z kim podzielił te marzenia. Tym kimś była poprostu... jego gospodyni! O, była to sprytna kobieta, z głową na karku! Widziała jasno, że jej pan raczej zniszczyłby swój wynalazek, niż użyłby go w innych celach, jak tylko dla zaspokojenia swojej manii wielkości. Zaczęła więc wmawiać w starego uczonego, że jego nazwisko Soleil posiada znaczenie symboliczne i pomyślała też zaraz o tym, by otoczyć go fantastycznymi znakami, odpowiednimi do sytuacji. Wymyśliła całą bandę, której każdy z członków miał nazwę jednego ze znaków Zodiaka. Podobało się to starcowi, który lubił tajemniczość.

Wtedy Soleil zrobił straszne odkrycie, że jednak złota wytwarzać nie może. Ale był tak

dużym, że nie dał tego poznać po sobie jego majątek był dość znaczny: zamieniał go na sztaby złota. Teraz, dzięki pieniądзом, urojona banda działała, to znaczy, że gospodyni sama wykonywała swe szalone pomysły, miała jednak dość sprytu i inteligencji, aby przerazić władze francuskie.

Dziwaczne rzeczy zaczęły dziać się w najlepiej strzeżonych biurach i lokalach Ministerstwa.

Mogłoby się to wydawać niezrozumiałe, gdybyśmy nie wiedzieli, że ta szanowna gospodyni miała siostrzenicę, posiadającą pełne zaufanie władz, jako najpiękniejsza z detektywów. Prawda, M-lle Lusseau?

— Tak, — szepnęła Gilberta — mów dalej... wiesz dużo, jeśli nie wszystko!

Ale ona także przypuszczała, że może szastać złotem, jak piaskiem na wybrzeżu i wpadła na pomysł zadziwienia swego Rządu, gdyż ona także marzyła już o wielkiej potędze!

Pozostawiła w Ministerstwie stos złotych sztab o fantastycznej wartości. Miało to na celu pokazanie tym którzy dzierżą losy Francji, że tajemnicza banda posiada potęgę prawie nieograniczoną: potęgę złota i pogardę dla tego cennego kruszcu!

A Soleil milczał, choć stracił przez to cały swój majątek, a wkrótce potem znikł. To był straszliwy cios dla panny Lusseau i jej ciotki Marty! Gdyż ciotka Marta była właśnie ową czcigodną gospodynią.

Trzeba było odnaleźć Soleila za wszelką cenę!

Tymczasem nieszczęśliwy uczony pracował w pokoiku na Brlowstreet nad urzeczywistnieniem swoich planów i pewnego dnia w swojej wielkiej naiwności pokazał swemu gospodarzowi Mr. Hullowi, ostatnią sztukę złota jaką miał, mówiąc mu, że doświadczenie się udało. Reszta jest łatwa do odgadnięcia: gorączka złota ogarnia Mr. Hulla. W skrytości obserwuje swego lokatora, a ten, nie podejrzewając nic złego, udaje, że tego nie widzi. Wyciąga sztabę za sztabą ze swej maszynki i chowa je do tej skrytki. Była to w rzeczywistości tylko miedź pozłacana.

Gdy skrytka była pełna, demon złota przewycięzył wrodzoną uczciwość Mr. Hulla: zamordował on starego Soleila.

Wyobraźcie sobie jego rozpacz, gdy przekonał się, że popełnił morderstwo za pół tonny ołowiu! Ale wyobraźcie sobie także jego przerażenie, gdy pewnego dnia tajemnicza banda Zodaka przyszła zapytać go o nowiny o Soleilu!

Zabawił się w tajemniczość udawał ważnego... przysięgał, że nie zdradzi nigdy sekretu Soleila i... został zamordowany przez... Strzelca, w osobie milej pani Marty!

— Dickson, — rzekł nagle Mr. Wiggs, — wszystko to, co pan mówi, jest słuszne i nie chcę sprzeczać się z panem, ale nie może nam pan nic zrobić. Nie może pan przecież, jako mąż, wnosić oskarżenia przeciwko własnej żonie, Gilbertce Lusseau!

— Wiedziałem o tym odrazu, — odparł detektyw, — na nieszczęście jednak dla was, nie jestem mężem Gilberty Lusseau!

— Co takiego?! — krzyknął Mr. Wiggs.

— Zapomnieliście o Wodniku...

— O Wodniku... — szepnęła Gilberta zamierzającym głosem.

— Ależ tak, Gilberto, Mendozza, twój małżonek, nie umarł. I masz tu dowód!

— Boże! — krzyknęła M-lle Lusseau, cofając się w tył z przerażenia.

Mendozza, blady, ale żywy, ukazał się w otwartych drzwiach.

— Dokończę opowiadanie za pana, Mr. Dickson — rzekł. — Historia starca w Kadyksie była zmyślona; bawiłem z polecenia moich władz w Paryżu, gdy poznałem Mademoiselle Lusseau. Poślubiłem ją w tajemnicy, jak sobie tego życzyła, a potem musiałem zająć się jej sprawą.

Szukałem Soleila w Londynie, nie mogąc go jednak znaleźć... przysięgam jednak, że gdy ujrzałem, jak Marta podstępnie chce pana zamordować, przeciwstawiłem się jej i uratowałem pana, pomimo jej woli.

Ale czyniąc to, podpisałem na siebie wyrok śmierci. I właśnie Gilberta, kobieta, którą kochałem, zgodziła się go wykonać! Zrobiła to w pana obecności, aby pozyskać pana zaufanie, gdyż wiedziała, że jedyną nadzieją odnalezienia Soleila i majątku jest pan, wielki Harry Dickson!

Zaległa na chwilę cisza, poczem detektyw zapytał:

— Ocaliłeś mi naprawdę życie, Mendozza, czego żadasz?

— Kocham ją jeszcze i ona jest moją żoną, — odparł Hiszpan drżącym głosem. — Zdała od tej podłej Marty, stanie się znów kochającą kobietą.

Harry Dickson wyciągnął do niego rękę:

— Niech tak będzie, możecie odejść wszyscy. W gruncie rzeczy, zabijając Hulla „Strzelec“ pomścił tylko śmierć Soleila. Szofer Thornycroft był jednym z morderców, którzy czatowali na mnie przy Kingsway. Inspektor Carruthers uniknie śmierci. W pewnej mierze można udzielić przebaczenia bandzie „Dzielnych Synów Zodiaku“, Zało żyłbym się jednak, że pani Marta będzie jeszcze kiedyś wisała, może w Ameryce, lub w Australii, byle jak najdalej od was dwojga... a szanowny Stillkins zamknie swoją „Czarną Różę“, jeżeli nie chce, abym zapoznał go z ciemnicami więzienia Newgate. A teraz Mr. Wiggs, zechce pan łaskawie zdjąć swoją perukę; odkąd dowiedziałem się, że pani Marta źle włada angielskim, znałem już pani tożsamość!

Na miejscu Mr. Wiggsa ukazała się rzeczywistość ciotka Marta.

— Zrobi pani karierę w teatrze, jako prestigitatorka, ciotko, ale niech pani porzuci zabawy nożem i kierowanie bandą przestępców. To może się źle skończyć któregoś dnia. Mr. Wiggs-morderca, potem posłaniec-truciciel, wreszcie Mrs. Crown, także mordreczyni... diabeł chyba pomagał pani wcielać się w te wszystkie postacie! Ale uprzedzam panią: proszę nie zakłócać więcej spokoju Mendozzy i jego żony.

Zwrócił się do łkającej Gilberty:

— Twoja kariera policyjna jest skończona, — rzekł, — od chwili, gdy strzeliłaś dwukrotnie do człowieka, noszącego stalową koszulkę, pod wieczorowym strojem i nie umiałaś odróżnić, czy ten człowiek żyje, czy też nie. Postaraj się więc ży-

ciem bez zarzutu uzyskać przebaczenie za ten szczególny grzech... małżeński.

— Harry! — zawołała nagle Gilberta, wyciągając ramiona.

Ale Harry Dickson zbiegł już po schodach i nie słuchał jej więcej.

Koniec.

Następny **Nr. 30 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 2-go sierpnia zawierać będzie przygodę p. t.

„Czarny mściciel“
CENA 10 GR. CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|-------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 15. WIDMO TUŁACZA |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 16. SKRADZIONY TESTAMENT |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 17. DUCH ŚWIATŁA |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 18. CZERWONA DAMA |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 19. MIASTO PIRATÓW |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 20. POSTRACH LONDYNU |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 21. Tajemnica Łodzi podwodnej |
| 8. „KRÓL NOCY“ | 22. NIEBIESKI BOCIAN |
| 9. „POSEPNA KABAŁA“ | 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO. |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ | 24. HAWAJSKI SZTYLET. |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ | 25. WOSKOWE JABŁKO |
| 12. „KAPIANKA OGNIĄ“. | 26. WIELKA GRA. |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY | 27. HOTEL EMIGRANTÓW. |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA | 28. KRWAWY KLEJNOT |

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

10 gr.

szyt, stanowiący oddzielną całość

10 gr.

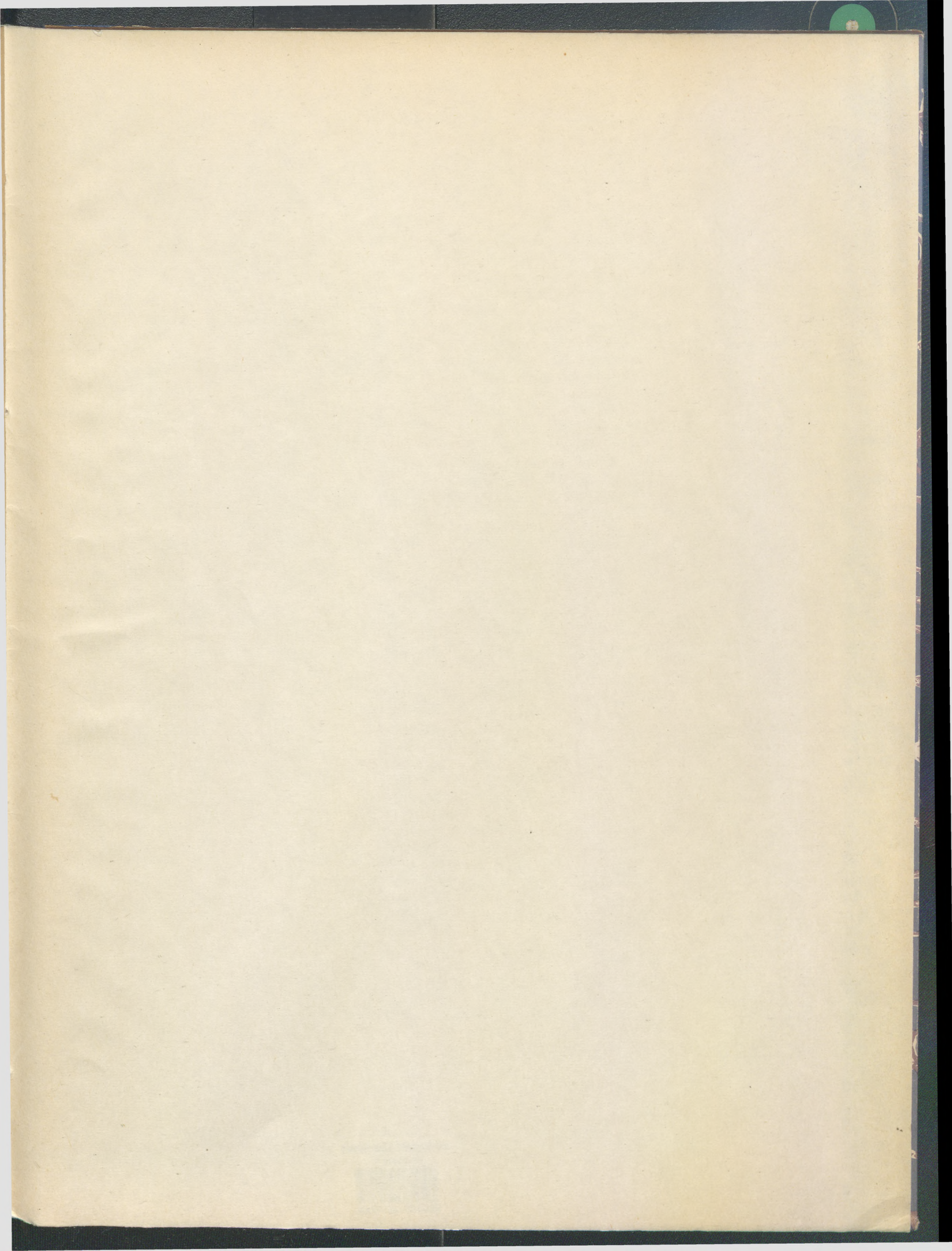
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak.

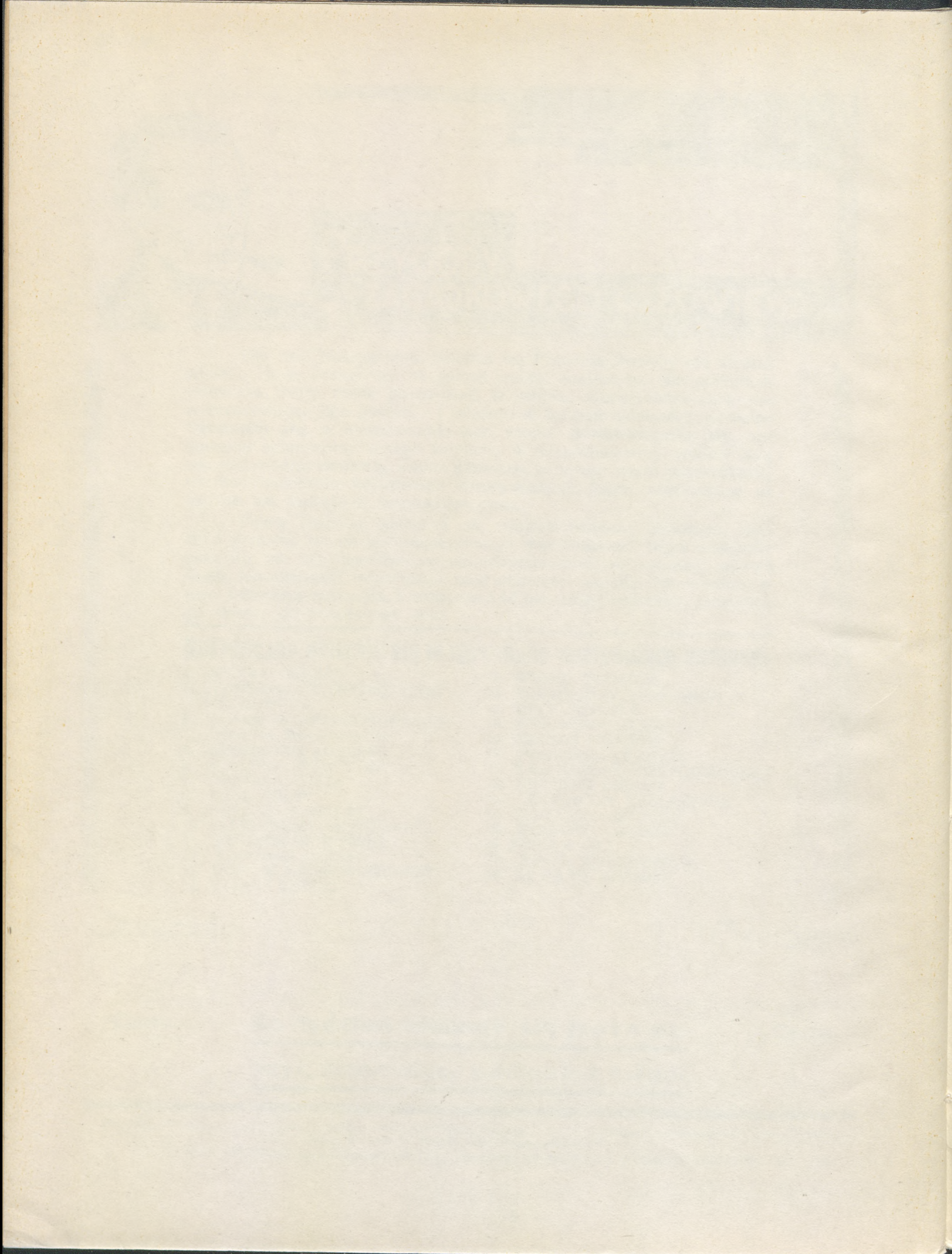
Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64

Konto PKO 68.148 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49. tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

6942/38



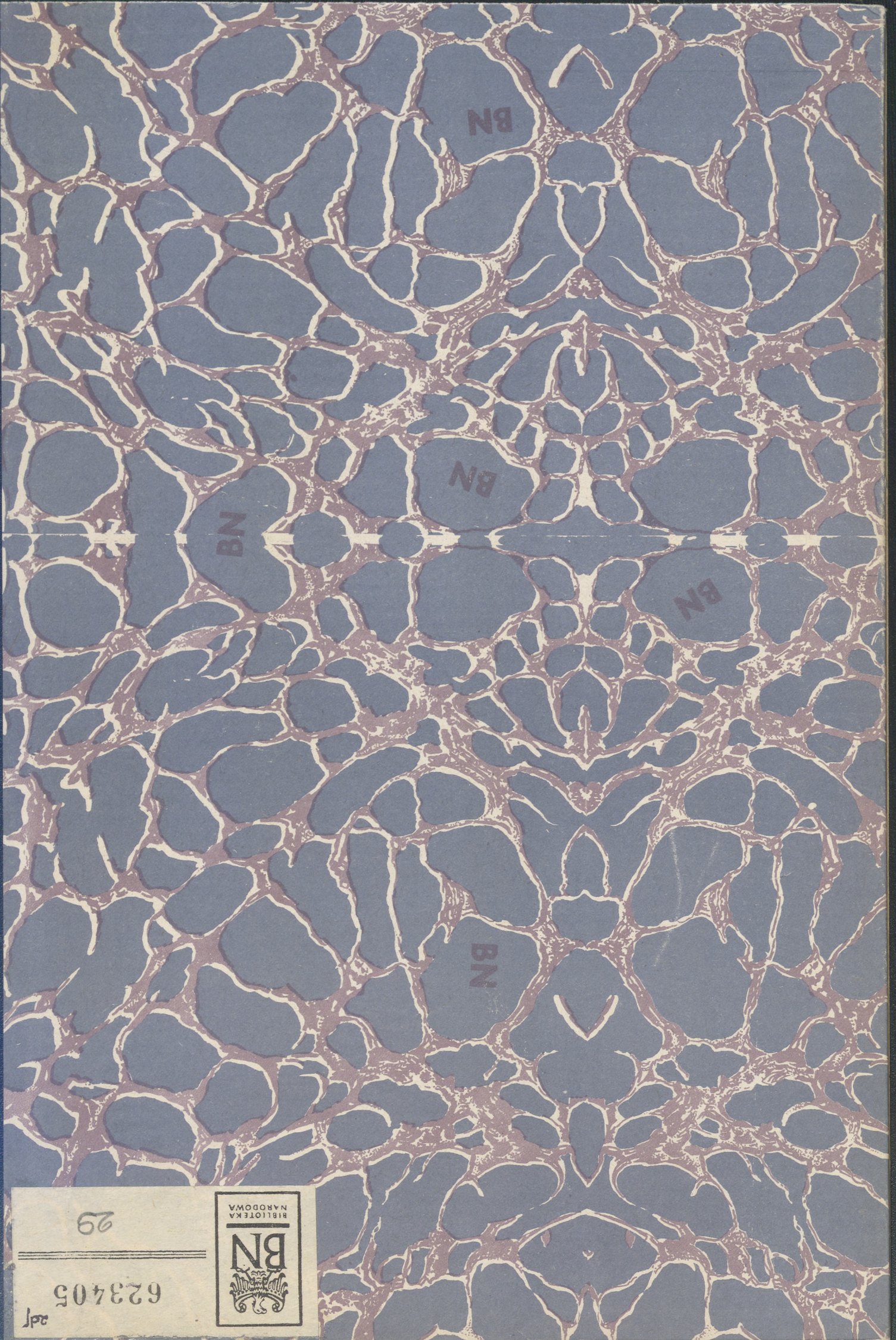


Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024366029

BN



BN

BN

BN

BN

BN

29

623405

2d1

